Rocznik II Kraków, 10 Lipca 1897. Nr. 13 i 14.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Organ ZWIĄZKU LITERACKIEGO w Krakowie.

Przegląd wychodzi dwa razy na miesiąc.

Listy, artykuły, książki, należy przesyłać pod adresem Redakcyi.

Przedpłata wynosi:
w Krakowie rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr. — z przesyłką pocztową rocznie 6 złr. 80 ct. — półrocznie 3 złr. 40 ct.
Za granicą: rocznie 16 franków, 12 marek, 6 rubli, z przesyłką 7 rs.
Cena numeru 50 ct. w. a.

Ogłoszenia
po cenie 10 ct. za wiersz petitowy; za całą stronicę 20 złr. przyjmuje Administracya.

W Poznaniu skład główny w księgarni J. Leitgebra, w Petersburgu w księgarni K. Grendyszyńskiego.

Adres Redakcyi: ulica Floryjańska l. 41. — Administracya: w księgarni G. Gebethnera i Spółki.

KORESPONDENCYA

Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

Pomiędzy pamiątkami po Klementynie z Tańskich Hofmanowej, ofiarowanymi przez jej męża śp. Karola Hofmana, Akademii Umiejętności, znajduje się szereg listów i wierszy pisanych do autorki „Jana Kochanowskiego w Czarnolesie“. Rękopisma te znajdują się dziś w Bibliotece Akademii pod l. 758. Są to w pierwszym rzędzie listy biskupa Woronicza, dalej Niemcewicza. i te przeważnie już z czasów emigracyjnych, wreszcie jeden list Stefana Witwickiego i jeden list Trentowskiego, znanego filozofa. Ogółem nie przedstawiają one żadnej wartości jako materyał historyczny. Nie odnoszą się bowiem do żadnych kwestyj literackich, a sprawy w nich omawiane, są czysto prywatnej natury i nie mogą interesować szerszych kół miłośników ojczystej literatury. Nie przynoszą bowiem nic, coby przyczyniło się do rozświetlenia prywatnego życia Tańskiej.

Dalej znajduje się tu mdły i czczy wiersz Dmochowskiego, napisany na cześć Tańskiej przed jej wyjazdem z Warszawy za granicę, i niezbyt udatny wiersz J. U. Niemcewicza do tejże, który tu przytaczamy w całości, nie tyle dla jego wartości artystycznej, — bo tej chyba nie ma żadnej, ile przez cześć dla tego, który go napisał. Oto wiersz, o którym mowa:

Do Wny Panny Tańskiey

W księdze autorki „Rad dla dobrych matek“
Nie mnie pierwszemu mieścić się wypada,
Niech grono przez nią wychowanych dziatek
Hołd jey winny pierwsze składa.
Próżno człek gminny woła do młodzieży:
„Już o tey Polszcze zapomnieć należy,
„Już nam Jey miłość obrzydła“.
Inne są Tańskiey prawidła:
Kochać BOGA, Rodziców i Oyczyznę lubą,
Wiecznie płakać nad Jey zgubą,
Za nią, za króla życie swe narazić,
Nigdy się czynem wątpliwym nie skazić,
To iest do czego zachęca.
Ach! kto się całkiem kraiowi poświęca,
Pewien naszey wdzięczności i swey własney Chwały,
Nie umrze cały“,

J. U-N.

(Podpisano ołówkiem „Niemcewicz“).

Wspomniałem o liście Trentowskiego. Jak na filozofa list pełen niesmacznych konceptów i przesady. Nie mówię już nic o języku, bo znaną jest cudaczna gwara tego myśliciela. Prosi on w tym liście Tańskiej, by mu podała krótkie „curriculum vitae“, „rejestr dzieł przez nią wydanych“ oraz, aby „zmalowała (?) krótko główne zasady swej teoryi wychowania kobiet, główne swe cele i dążności pedagogiczne“. Określa zarazem, jak dużą ma być ta autobiografia: „Dość na dwu arkuszach, dość nawet na jednym“. Za to obiecuje jej przesłać swoję „Chowannę“, skoro tylko wyjdzie z druku.

Odpowiedź na ten list znajduje się w wspomnianym zbiorze rękopismów Akademii. Przytaczam ją w całości, bo może się przyczynić bardzo do poznania charakteru autorki, która, lubo była „tylko kobietą“, w dziejach naszego wychowania tak ważną odegrała rolę.

List Klementyny z Tańskich Hofmanowej do Bron. Trentowskiego.

„Odezwa Pana z d. 5. Lipca 1841. bardzo mi była przyjemna i iedną z naymilszych nagród życia poświęconego pracy, iak świadectwo i zachęta ludzi zacnych i światłych. — Ale Panie — nie wiem, czy nie zbyt wiele trzymasz o mnie i nie wiem, czy mi się godzi zaiąć mieysce obok tych pięknych imion, które przytaczasz — ia nawet nie potrafię nakreślić żądanego planu, bo moie zasady, cele i dążności były zawsze i są tak proste! Dwie chęci kierowały iedynie moiém piórem: żeby z naszych dziewcząt porobić dobre Polki i prawdziwe kobiety.

W młodym wieku uczułam całą krzywdę wyrządzaną narodowości owém zamiłowaniem francuzczyzny u nas. Maiąc nayzacnieyszą, naylepszą w świecie matkę w młodym wieku poznałam iak piękne iest powołanie kobiéty, skoro się trzyma rzetelnego przeznaczenia płci swoiéy; wszystkie tedy moie zabiegi od początku mego literackiego zawodu zwróciły się ku temu, ażeby dostarczyć iak najwięcéy książek polskich dla dzieci, ażeby obeznać ie według sił swoich z rzeczami polskiemi a w dorastaiące dziewczęta wpaiać to przekonanie, że choć ie Bóg kobietami stworzył, mogą być użyteczne. Wyznanie wiary moiéy w tym względzie, (niezmiernie dalekie od emancypacyi, któréy zupełnie iestem przeciwna) znaydzie Pan w kilkunastu rozdziałach traktuiących o moralności dla kobiet, które Dziennik domowy Poznański w r. 1840. ogłosił. Jest to próbka obszernego dzieła, które uważam za wieniec prac moich, które jest już nakreślone, gdyż wykładałam ie ustnie przez lat cztery w Instytycie guwernantek w Warszawie, i które ieśli Bóg udzieli życia i zdrowia w przyszłym roku wydać zamierzam. Pan, który iesteś filozofem i tyle uczonym, ruszysz zapewne ramionami na taką prostotę, ale ia nie znam potrzeby dla kobiét innéy filozofii prócz Chrystusowéy, innego mieysca w społeczeństwie ludzkiém nad to, które Bóg w pierwszych dniach utworzenia im naznaczył: Być pomocą mężczyźnie.

Co do moiego curriculum vitae, iak za Panem powtarzam, opisał ie Straszewicz w swoiém dziele les Polonais et les Polonaises, umieścił ie roku 1839. Conversations-lexicon wydany w Lipsku. Spis ramot moich iest następuiący.

(Tu następuje wyliczenie dzieł począwszy od „Pamiątki po dobrej matce“ (r. 1819) do „Jana Kochanowskiego“ (r. 1841).

Co zaś do obeznania się z témi pismami, nie maiąc sama ani połowy, nie mogę Panu dać innéy rady, iak żebyś się postarał z Wrocławia o wydanie Korna z r. 1832. Zrobił on 10 tomów pism moich i nazwał ie wyborem, lubo to po prostu jest zbiór. Wiązanie Helenki, które mam pod ręką przesyła Panu wspólny nasz dobry znaiomy Bońkowski, wraz z planem domu edukacyi, którybym rada z duszy kiedy gdzie założyć i który dopiero, gdyby się udał, mógłby mi nadać prawo do rzetelnéy pedagogicznéy zasługi. Więcéy nie mam Panu nic do powiedzenia o sobie — zostaie mi więc tylko podziękować Mu raz ieszcze za pochlebną opinię i zapewnić o wzaiemnym szacunku.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Czy Pan pozwoli powiedzieć tu moie zdanie o tytule dzieła, którego bardzo niecierpliwie wyglądać będę i za które wcześnie dziękuię. Oto żałuię, że Pan nie napisał po prostu: Nauka wychowania. Ta Chowanna wystawia mi iakieś bóstwo słowiańskie, opiekuiące się wychowaniem, nie zaś nauką wychowania. Zupełnie patrzy na siostrę Marzanny, Dziewanny itp. Ale niewcześnie i zbyt śmiało odzywam się z tém zdaniem moiém — proszę mi to wybaczyć.

Najciekawszą jest jednak w tym zbiorze korespondencya odnosząca się do znanego dzieła Hofmanowej: „Jan Kochanowski w Czarnolesie“. Daje ona nam poznać o ile Brodziński wpłynął na powstanie tego dzieła i „ile myśli podał“, jak mówi sama autorka w przedmowie. Czy i o ile wskazówki Brodzińskiego na powstanie i ostateczne wykończenie i układ tych „obrazów“ wpłynęły dodatnio, rozstrzygać nie myślę, bo brak mi środkowej pracy Hofmanowej, o której pisze Brodziński w drugim swym liście, a której rozwinięciem jest znane dzieło Hofmanowej. Mam pod ręką pierwszy szkic do pracy, zatytułowany „Osnowa Pisma“. Szkic ten nie mówi ostatecznie nic o artystycznym układzie całości. Jest ogólny i jak łatwo przekonać cię można, — bo przytaczam go tu w całości — nie uprawnia do żadnych wniosków o przyszłem dziele.

Osnowa Pisma.

Zamiarem iest moim przedstawić rok ieden, rok ostatni z życia Jana Kochanowskiego; chciałabym dać w tém Piśmie (któremu nie wiem czy będzie przystało nazwisko Powieści), obraz prawdziwy życia wieyskiego, szczęścia domowego, cnot staropolskich; chciałabym wystawić Kochanowskiego iakim był, dobrym obywatelem, lubownikiem mierności i cichego życia, Pisarzem, miłośnikiem Oyczystego ięzyka, dobrym gospodarzem, tkliwym Oycem, mężem, przyiacielem; chciałabym w żonie iego podać wzór gospodyń, żon i Matek; w starszéy córce wystawić przykład dla młodych Polek; w nadobnéy Orszulce dla małych dziatek; chciałabym mięszać ile możności ale nawiasem szczegóły o Królach, o wielkich ludziach, o uczonych, których Kochanowski znał, o znacznieyszych wypadkach, których był świadkiem; chciałabym sprowadzić do Czarnolesia braci, synowców Kochanowskiego, Reia, (chociaż podobno iuż wtedy nie żył, ale na to pozwolić mi proszę),

Górnickiego, Bielskiego itp., a wydawszy nayżywszemi farbami iakie tylko znaydę, swobodę i szczęście, a zmieniaiąc nagle tonu i pióra chciałabym opisać rzewnie śmierć Orszuli, Hanny, a nareszcie śmierć nagłą i piękną Kochanowskiego ginącego w obronie przyiaźni, żal pozostałych córek i Małżonki i urodzenie tego pożądanego syna, który dopiéro po zgonie oyca świat uyrzał. Gdyby ta treść nazbyt prostą była, możnaby łatwo miłośną intrygę do niéy przymięszać. Piotr, synowiec Jana, mógłby się w naystarszéy córce stryia zakochać, dla bliskiego pokrewieństwa być przez Rodziców odmówionym i z rozpaczy Kawalerem Maltańskim zostać, iakoż był nim tłómacz Jerozolimy. Ten szczegół ożywiłby Pismo, ale nie wiem, czy przystałby dla Dzieci i czyby nie rozszerzył zbytecznie osnowy, którą w dwunastu Rozdziałach, a nawięcéy w trzydziestu Arkuszach zamknąć całą wypada.

Główna zaleta.

Główną zaletą tego Pisma, (pominąwszy moralność), chciałabym, żeby było obeznanie dzieci z czystą, z prawdziwą, z dawną Polszczyzną. Ia będę mówiła iak dziś mówiemy, ale skoro osoby opisywane się odezwą, chciałabym, żeby przemawiały ięzykiem powagi i prostoty Oyców naszych; chciałabym, opisuiąc różne szczegóły potocznego życia, wsuwać różne potoczne wyrazy, z prawdziwą polską ich nazwą, które dziś zwyczaiem zfrancuźniały lub zniemczały.

Tytuł.

Nad tym nie namyślałam się jeszcze — im prostszy, tem lepszy, możeby więc uszedł — Jan Kochanowski w Czarnolesie.

Godła.

Całego pisma te słowa X. Czarneckiego: „Szukaymy wzorów domowych, na których możnaby się doskonalić, ale szukaymy ich z czasów odległéyszych, bo do starożytności powszechnie większa wartość przywiązana". Do dwunastu zaś roździałów, chciałabym dobrać stosowne godła ale wyłącznie z pism Kochanowskiego.

Oto są zamiary moie — choć tak proste na pozór, wykonać ie łatwém nie będzie; ale dobra chęć, a co więcéy dobra rada wiele może; iednę mam, i drugiéy pewna iestem kiedy się po nią do znawcy i do łaskawego przyiaciela udaię.

Szkic ten, a raczej „osnowę" posłała Hoffmanowa — a podówczas jeszcze panna Tańska — przez trzecią osobę (kogo? nie wiem) Brodzińskiemu. Ten zajął się sprawą prawdziwie po ojcowsku, i napisał w tej kwestyi długi a bardzo ciekawy list do tej pośredniczącej osoby z prośbą, by raczyła „niektórych uwag udzielić Szanownej Autorce". List ten dostał się pannie Tańskiej i przytaczam go tu w całości. Ponieważ zamiarem moim jest podawać tylko materyał in crudo, nie wchodzę w szczegóły i nie wykazuję ile miejsc „żywcem" znalazło się w „Janie z Czarnolesia". Powiem tylko, że on był tym gruntem, na którym wyrosły obrazy Hoffmanowej, że cała „moralna atmosfera" tego XVI. wieku. jaki widzimy w tem dziele, całe pojęcie przeszłości, a przedewszystkiem sam charakter J. Kochanowskiego, w tym właśnie liście mają swe źródło. Czy spostrzeżenie moje jest słuszne lub nie — stwierdzić łatwo. List ten podaję znowu w całości:

List Brodzińskiego o »Osnowie pisma« panny Tańskiej do nieznanej osoby.

„Odsyłam z wdzięcznością udzielony mi planik Panny Tańskiéy o Kochanowskim. Dzielę całém sercem chwalebny zamiar i mam nadzieję, że szczęśliwie przyjdzie do skutku. Autorka nie może się wiele spodziewać pomocy z dzieł spółczesnych. Przodkowie nasi wyspowiadali się nam szczérze z swoich grzechów politycznych, znamy ich na boiach i seymach, ale rodzinne swoje komnaty zamknęli przed nami. Nie będziemy my mieli Waltera Scotta, by nam wiernie dawne obyczaie malował, nie mamy po temu kronik ni pamiętników. Lecz zamiar naszéy Autorki iest inny; ona nie chce być historycznym malarzem obyczaiów, ale z zapasów, iakie są, chce nam wystawić Ideał narodowości o tyle, o ile dzisieyszéy potomności do niego zbliżyć się można i trzeba. Myślę więc, że chcąc zachować prawdę będzie malować wiek Zygmunta II-go iak bydź m ó g ł, a chcąc podać wzór obyczaiów wystawi razem takim, iakim bydź p o w i n i e n. Niechże więc w czytaniu dzieł nowoczesnych i w własnéy Imaganicyi szuka pierwszéy, a drugie znaydzie w czułém swém sercu. Moiém zdaniem wiek Zygm. Augusta, lubo więcéy oświécony od wieku oyca, iuż nie ma téy patryarchalnéy prostoty, iaka była za (wielkiego mém zdaniem) Zygmunta starego. Jeszcze się trzymano zasady: p a u c i s d a t u m n o s s e m i s t e r i a R e g n i — (mało komu dano znać taiemnice państwa) — ieszcze szlachcic Obozem i rolą zaięty nie dał się spodlić u magnata, ani kupić u dworu, ieszcze Senat miał prawdziwą powagę starszych braci. Od woyny kokoszéy rozeszło się sto tysięcy szlachty iuż niespokoynéy, podeyrzliwéy i coraz dumnieyszéy; a szlachta starsza, kosztem dobra i charakteru młodszéy nie przestawała rosnąć w nadużywaną powagę. Jeżeli wiek Zygm. Augusta był złotym wiekiem dla nauk, panowanie oyca było złotym wiekiem dla powagi narodowéy i obywatelstwa. To natrącam w myśli, że Autorka maluiąc Kochanowskiego i styczne z nim osoby znaydzie...... sposobność odmalowania nawiasem lepszych czasów za......... Kochanowskiego pod starym zacnym Zygmuntem. Do tego szczęśliwego obrazu może Autorka

zebrać bardzo wiele miłych i nauczających szczegółów. A że mię dobro oyczystéy Literatury tak iak iéy sława szczerze obchodzi, ośmieliłbym się nayprzód iéy radzić, aby pisma tego nie ograniczała do Dziennika, który wydaie, i żeby obszerniéysze wydała dziełko osobno, a publiczność przyięłaby ie pewno z wdzięcznością. Iabym się ośmielił wskazać iéy za wzór Podstolego (choćby nie tak obszernie) a mielibyśmy w tém dziele obraz owych wieków, tak iak w podstolim St. Augusta. Byłoby interesowniéyszém, boby miało znaną historyczną osobę, nie idealną iak w Krasickim, mogłaby mu nadać więcéy akcyi, gdyby Kochanowski w niém odmalowany stał, że tak powiem, na tle, któryby obraz wieku, obyczaiów i zdarzeń społecznych mógł wiele zaiąć. Kochanowski nie byłby tak wszędzie iak Podstoli nudnym często moralistą, czego w Krasickim przy żadnéy bagatelnéy sposobności nie opuszcza; zdania jego pochodziłyby z malowanych osób lub zdarzeń. Z powodu różnowierców mógłby otworzyć zdania o Religii, iakie miał istotnie, o wolności szlacheckiéy, mierności, rolnictwie i t. d. Znał Kochanowski obce kraie, dwory i Poetów społczesnych innych narodów, o czém pięknie w łacińskich swoich Elegiach wspomina, i tu byłoby pole do porównania Polski z obcemi narody, pod względem obyczaiów, smaku i oświaty. Miał Koch. ścisłe zachowanie z pierwszemi w kraju osobami, a oprócz tych, którym swe polskie rymy poświęcał, pisywał łacińskie poufałe Elegie do Radziwiła, Tarnowskiego, Mieleckiego, Ossolińskiego i innych.

Romansu nie widzę koniecznéy potrzeby; tak iak bardzo dobrze potrawy mogą się obeyść bez cukru lub pieprzu, (boć miłość iest iednėm lub drugiém), tak też i dobra książka. Ale może powabnym byłby epizod, — epizod miłości i ślubu córki lub krewnego poety, aby odmalować oryginalne zwyczaie dawne przy obrzędach weselnych. Ian Koch. iest bardzo szczęśliwie wynalezioną osobą do podobnego dzieła. Charakter wesoły i religiyny, żyiący w Imaginacyi z potomnością a tkliwy na związki i uczucia rodzinne, znawca świata i dworu, a miłośnik pokoju i wioski, należący do klassy średniéy przez stan i cnoty, do wyższéy przez oświecenie i związki, może bydź obudwu wiernėm zwierciadłem. Żona i dzieci iego mogą dadź obraz anioła stróża z małemi aniołkami, sprowadzaiącemi pociechę samotnemu Poecie. Niższa klassa sąsiadów nie umiała zapewnie cenić iego poezyy, i p r ó ż e n s ł u c h a c z ó w g r a ł z a p ł o t e m, miał dla niéy wesołą towarzyskość, dla niéy pisał fraszki, w których do niéy często aż nadto się zniżał. Resztę szlachetnych uczuć chował, ieżeli nie dla oświeceńszych ziomków, to dla potomności, czuiąc, że co mu uymie wiek dzisiéyszy, T o o d d a z l i c h w ą p ó ź n i é y s z y. Przy talencie i wiadomościach swoich dalekim był od Szarlataneryi, bardzo zwykłéy u wszystkich w Europie owego wieku uczonych. Żyiąc w idealnym świecie, nie zapomniał o rzeczywistym, był gospodarzem, przyiacielem i mężem, był czynnym sługą Oyczyzny, acz przy skromnym urzędzie woyskiego. Zapewne syn iego, boć nie on, marsowi w czasie pospolitego ruszenia nie lękał się stawić. Twardowski w Poemacie Władysław IV. wyliczaiąc wodzów ciągnących za młodym ieszcze Władysławem, mówi między innemi:

Daléy Ian Kochanowski, który uchowany
W Helikonie z muzami, dotąd się Febową
Bawił lutnią, Korwinom zacnym swym nie nową,
Porzucił zakąt wieyski, teraz na Pogany
Od strun wdzięcznych do trąby, od pióra do piki
Obok między drugiemi stawa woiowniki.

Tenże mówi późniéy, iż Kochanowski był w niebezpieczeństwie pod Cerkwią w czasie wolnéy bitwy, któremu sam królewic na obronę przyspieszył. Dziwna rzecz, jakby śmiał kłamać czelnie Twardowski, że Kochanowski, który umarł za Batorego, był na wyprawie Chocimskiéy; był to może syn iego, także Imieniem Ian, o którym nic nie wiem.

Autorce łatwo będzie przy zachowaniu iedności obranego czasu choćby mniéy iak roku życia Poety, umieścić w usta iego lub innych spomnienia, opowiadania, potoczne zdarzenia społeczne, utworzyć z nich harmoniyną całość maiącą swoię rozmaitość. Niechby ten przeciąg czasu był skupieniem się w iedno ognisko całéy sfery iego życia, a może i życia narodu w owym wieku, w głównych rysach charakterystycznych.

Nie przepomni zapewnie Autorka obeznać się z mieyscowością Koch., a oprócz Czarnolasu odmalować okolice otaczaiące iego mieszkanie, dwór iaki zamożnieyszy Ianowiec lub t. p. Może i zręcznie napomknie bliskie Czarnolasu Puławy, mniey sławne w tych czasach, w których niestety Poeta przewidzieć nie mógł, że tu zgromadzone niegdyś będą ostatnie pamiątki oyczyste i iego popioły, że tam spełni się iego przepowiednia:

»*I popiół kości moich nie będzie wzgardzony!*«

Iak ośmieliłem się wyżéy namienić, iż obyczaie nie mogą bydź malowane wiernie iak były, ale iak bydź mogły i powinny według ducha wieku, to samo chciałbym zastósować do ięzyka. Trudno nam bardzo wystawić przodków w rozmowie tak iak była; do tego ięzyk ich potoczny nie może dla nas mieć przyiemności. Proza samego Kochanowskiego w rozmowach drukowanych nie iest smakowną. Ale zwięzły i szczery tok mowy, z odrzuceniem pewnego nieokrzesania (iakie widać i w Dworzaninie Górnickiego), ze zręcznym a oszczędnym użyciem wyrazów potocznych a zarzuconych byłyby bardzo pożądane i właściwe. Szymonowicz, przysłowia Rysińskiego byłyby tu pomocne.

Nie mogę, a przynaymniéy w tym czasie, służyć obiaśnieniami o szczegółach osób Koch. dotyczących, nie znam ich, a potrzebaby dosyć szpérać. Pan Dob. lub Święcki naypewniéy wskażą Autorce źródła. Żonie

Koch. było Hanna na imię. Powodów szczególnych do przyiaźni dla domu Rakuskiego nie wiem. Ale sądzę, że Koch. znał nadużycia duchowne, był jednak Religii katolickiéy oddanym, uznawał w wielu rzeczach słuszną sprawę różnowierców, ale nie chciał odstępować Kościoła, to widać z pism jego. Może to, a przytem prosta dusza iego nie znaiąca chytrości Niemców, bytność w Wiedniu i osobiste poznanie Cesarza, (o którym pisze i w łacińskich Elegiach), uięło go za tym domem, lubo w opiniach tych, iak innych, miał się zawsze więcéy passive.

Łacińskich pism Kochanowskiego można dostać w Bibliotece publicznéy, lubo są rzadkie. Przełożyłem ia większą część iego Elegiy, są tu pamiątki młodości poety, w których maluie się miłośnik użycia świata według zasad Horacyusza, ale przebiia przyszły rolnik, sąsiad i tkliwy oyciec. Praca ta, przy innych zatrudnieniach, wiele mi przyiemności sprawiła.

Z familią Kochanowskiego może się Autorka rozrządzić, iak iéy się będzie podobać. Niech wyda za mąż Krystynkę, choćby nie miała lat 15-tu; uczeni nie będą się o to spierać i prawo nie zabroni nadadź iéy wiek do zamęścia podobny. Wiem, że się wyda dobrze i zawczasu skaczę w myśli na iéy weselu.

Krytycznem może będzie dla autorki śmierć biednéy, kochanéy Urszulki, a więcéy ieszcze żal oyca, bo co można tkliwszego powiedzieć jak on:

„Zgwałciłaś niepobożna śmierci oczy moie,
Żem widział konające miłe dzieci swoie,
Żem widział jakoś trzęsła owoc niedoyrzały,
A serca rodzicielskie na to się krajały.

W starych wydaniach Koch. iest osobny tytuł Trenów zatém i nieiako czas śmierci tego Aniołka, zkąd się pokaże, iak długo oyciec po niém żył ieszcze, ale cóż to szkodzi? choć mu odwlecze tę żałosną chwilę, aż do ostatniego roku iego życia. Bardziéy to będzie stósowne do iego trenu, gdzie mówi:

„Już zostaie samemu w podróż się gotować
„A stopkami twoiemi ciebie naśladować.

Będzie to więc tkliwiéy, że oyciec tak czule kochający, krócéy będzie cierpiał. A nieprzyjemne na mnie wrażenie zrobił Kochanowski Niemcewicza, gdy w iedym dniu pisze tak czułe żale i w tymże samym żartuie i wesołe dzieli zabawy.

(*Dok. n.*) *Stefan Morawiecki.*

Katolicyzm a prądy religijne w literaturze.

(*O. Maryan Morawski:* Wieczory nad Lemanem, 1896, II. wyd., 1897).

II.

Kwestyi stosunku między nauką dzisiejszą, a religią, poświęcony został drugi wieczór. W dyskusyi prym trzyma pastor Deville, ksiądz zaś potakuje mu, bo w tych rzeczach niema różnic między chrześcianami. Można — rozumuje Deville — mówić o sprzeczności między religią a jakąkolwiek filozofią, n. p. Hegelianizmem, filozofia bowiem, dając pewien pogląd na wszystkość, może w niejednem zagadnieniu spotkać się oko w oko z religią. Ale sprzeczności między religią a nauką niema, nauka bowiem nowożytna jasno określiła zadanie swoje i stanowisko, odgraniczając się od wszelkiej metafizyki i z tego powodu nie może rościć prawa do dania poglądu na wszystkość. Rozmija się przeto z zadaniem swojem i tworząc metafizykę wpada w sprzeczność z sobą, ilekroć metodę i środki swoje, przydatne do badania przyrody, przenosi w dziedzinę zagadnień metafizycznych. Np. zdanie, że bez mózgu nie można myśleć jest bardzo prawdziwe i uzasadnione w naszej sferze doświadczalnej, ale „to samo zdanie, rozumiane jako bezwzględna niemożliwość, aby jakakolwiek istota bez mózgu myślała, jest aż śmieszne swoją śmiałością i bezzasadnością“. Mogą więc nauka i religia istnieć obok siebie, nie wchodząc sobie w drogę. Religia jednej tylko rzeczy wymaga — uznania, że „byt tej materyi, którą nauka bada, pochodzi od Stwórcy i że wynik ewolucyi siłami natury wykonywanej przez Niego zamierzony został“. Gdzie więc uczony widzi dzieło przyczyn naturalnych, tam człowiek uczony i religijny zarazem widzi sprawę Bożą przez naturalne przyczyny uskutecznioną, czyli Opatrzność, która właśnie „jest aktem inicyalnym Stwórcy, obejmującym wszystkie następstwa, jakie prawa natury i historyi w ciągu wieków roztoczą“.

W tym kierunku długo i pięknie rozumował Deville, w końcu ksiądz mu przyszedł z pomocą. Niewiadomo, czy słowa ich trafiły do umysłu Bielskiego, który zrazu opierał się im, ale potem zamilkł. Zapewne nie, bo nie da się przekonać ten, komu dobrej woli brak, ale poetyczna miss Wilson, przysłuchując się rozprawom o wzajemnych stosunkach wiedzy i wiary, rozmyślała o drogach wiodących do poznania Tego, który jest źródłem rzeczy i zestawiając z nieskończonością światów przepaście, w które nędza pogrąża człowieka, pięknie wygłosiła w końcu, że tylko „filozofia pokory“ odpowiedzią jest na pytanie, jaką filozofię powinien sobie obrać człowiek. Z prawdą tych słów głębokich zgodzili się i inni współbiesiadnicy, tem bardziej, że nasz wiek, jak słusznie zauważył Deville, wzbogacony nadzwyczajnemi zdobyczami w nauce i przemyśle, wzbił

się w pychę i „najtrzeźwiejszy w badaniu naukowem stał się najszaleńszym w filozoficznych spekulacyach“.

Zwłaszcza filozofia pessymizmu wycisnęła niezatarte piętno na umysłach współczesnych, pomimo, że się nie utwierdziła w nich jej podstawa metafizyczna, polegająca na uznaniu wszechpotężnej i wszechtwórczej woli życia, którą zabić należy, jako źródło wszystkiego złego. Nie wielu widzimy pessymistów ścisłych, ale niemal wszyscy pessymistycznie są usposobieni, a ten nastrój powszechny, zamiast osłabnąć, raczej wzmaga się dziś wraz z rozrostem tęsknień religijnych, bo w nierozłącznym są one związku z głębszem odczuciem obecnego rozstroju dusz. Dla tego to przedstawicielem pessymistycznych zapatrywań, stanowiących przedmiot rozpraw trzeciego wieczoru, zrobił autor Siemionowa, bo on głębszą, niż inni, pała żądzą ideału moralnego i głębiej przeto czuje potrzebę wiary. Nie obchodzą mię — powiada on — spory między nauką a religią, które sto razy mogą jeszcze pokłócić się i pogodzić; trudność widzę tylko w pogodzeniu rozumu z religią: „Bóg ma być dobry, innego Boga czcić, ani nawet pojąć nie możemy, a tymczasem świat, który z Jego ręki wyszedł, jest zły“. I tu ze stanowiska pessymizmu roztacza Siemionow wstrząsający grozą, a prawdziwy obraz świata: „W przeszłości jego barbarzyństwo, graniczące z dzikością; hordy polujące jedne na drugie, jak drapieżne zwierzęta; religie srogie, jak zmory; ołtarze krwią ludzką zbryzgane. Tu i owdzie próby cywilizacyi, które wyrafinowują tylko okrucieństwo, mnożą stan niewolniczy, do rozpaczy uciskają zdzierstwami satrapów“..... „A dziś po wprowadzeniu chrześciaństwa, czy jest lepiej?...“ „Cywilizacya prędszem tępem mnoży potrzeby, niż je zaspokaja, a odbiera wiarę w niebo. Darmo ekonomiści z cyframi na papierze wykazują, że robotnik dziś więcej zarabia, niż przed stu laty. W te cyfry zapomnieli wciągnąć napięcie rozbudzonych w całym człowieku żądz, od żołądka aż do mózgu i ilości goryczy nagromadzonej w jego sercu. Obrazki z życia robotników i ziemian, rylcem Zoli rytowane, przerzucają myśl do jakichś przedhistorycznych troglodystów. A kiedy się tak dzieje w Europie, pomyślcie państwo, co się współcześnie dzieje w innych częściach świata: tyrania władców, a miliony śmierci głodowych w Azyi, razzie i pochody okutych niewolników w Afryce, barbarzyńskie okrucieństwa trapperów w Ameryce, po wyspach....“ Powiecie, że natura wynagradza nas pięknem, ale poza ułudą jej wdzięków „toczy się nieustannie walka zacięta, pełna zdrad i okrucieństw, między wszystkiemi tworami. Głód i strach to są dwa główne motory świata zwierzęcego. A nawet rośliny pozornie tak ciche walczą między sobą o miejsce, o powietrze i światło, duszą się, żywcem wysysają się i zapewne głucho męczenie to czują. Pod powłoką wesela cała natura jest jedną wielką katorżnią“.

„Nie — woła na to miss Wilson — tak być nie może! Gdyby w naturze było więcej cierpienia niż radości życia, toby świat się zniszczył i dawnoby już przestał istnieć“. Te słowa są punktem wyjścia dla rozumowań Deville'a. Zasadniczy błąd pessymistów tkwi, według niego, w tem, że z malutkiej cząsteczki sądzą o całości: „Zakreślają oni sobie mały kawałek świata Bożego — jak daleko sięga ich ręka i krótki wzrok — siłą się wytłumaczyć sobie ten skrawek jako całość w sobie skończoną — i wreszcie orzekają, że taka budowla jest zła, brzydka i bez sensu“. Straszne cierpienia, których widownią jest świat, najczęściej ludzie sobie sami wyrządzają i właśnie chrześciaństwo godzi istnienie Boga z istnieniem złego, przypisując wszystko złe w stosunkach ludzkich wolnej woli człowieka: „Chcąc stworzyć istoty rozumne, zdolne Go znać i posiadać, Bóg musiał stworzyć je wolne, bo jedno logicznie pociąga drugie. Chcąc zaś stworzyć istoty wolne, musiał z góry przystać na tę ewentualność, że nie wszystkie te wolne istoty obiorą dobro, ale niektóre zwrócą się ku złemu...“ „Gdyby wszystkie stworzenia z natury swojej nieodmiennie grawitowały ku dobru i zwracały się do Boga, moglibyśmy powiedzieć, że ich wybór nie jest wolny, że są zdeterminowane na jedną stronę, że przeto cnota ich nie jest cnotą, bo nie może być mowy o dobrem, skoro złego niema“.

To wyjaśnienie Deville'a przenosi ksiądz na nierównie wyższą skalę z pomocą kościelnego dogmatu o grzechu pierworodnym. Słowa jego, owiane tchnieniem katolickiego poglądu na świat, są kwiatem całego dzieła. Streszczam je pobieżnie, używając przeważnie wyrażeń samego autora:

„Bóg w pierwszym rzucie stworzył samo dobro i szczęście, Ale człowiek własnowolnie temu się oparł. Chciał, zamiast czystego dobra, zakosztować owocu dobra i zła. Bóg to dopuścił nie dla tego, iżby zło było potężniejsze od niego i zniweczyć mogło jego zamiary, ale iż widział w niem tło do jeszcze wspanialszego uiszczenia tych samych miłościwych zamiarów swoich. Idź, powiedział człowiekowi, drogą, którąś wybrał. Wiele się na niej nacierpisz za karę, ale ja celu zbawienia twego, dla któregom cię stworzył, nie zmieniam; i tą drogą krzywą, na którą wstąpiłeś, jeszcze wznioślej do niego cię zaprowadzę. — I człowiek idzie — i ludzkość idzie już nie prosto z prawdy ku prawdzie, z wesela Edenu do szczęścia niebieskiego, ale z pochyloną głową, między ciernie i głogi, które jej ziemia dziś rodzi. Szukając prawdy, brnie ona w coraz nowe błędy; szukając szczęścia, rzuca się w kałuże, brzydoty; probuje wszelkich uciech dla jednostki, wszelkich ustrojów dla społeczeństw. Wszędzie zawód... Ale Bóg obiecał, że przyjdzie pomódz człowiekowi i obietnica ta spełnia się p o b o ż e m u, milionkroć więcej niż się ludzkość spodziewała, niż marzyła: Bóg zsyła Chrystusa, Zbawiciela świata... Od

chwili tej mija już dwadzieścia wieków, a tylko nieliczni korzą się na kolanach przed Bogiem wcielonym, ludzkość po dawnemu szaleje i cierpi. Czyżby się Bogu nie udało?... Nie. Religia pracuje powoli, jak pracowały te siły kosmiczne, które materyalne światy ukształciły. Bóg chce, aby ludzkość samochcąc podniosła się ku Niemu, bo religia jest związkiem, jest pocałunkiem między Bogiem, który z dobrowolnej miłości ku stworzeniu się nachyla, a stworzeniem, które również wolną miłością ku niemu się podnosi — a to wymaga czasu... Ale wyczerpie się cykl upadków i błędów i po obiegu ogromnej a własnowolnie obranej krzywizny, ludzkość dojdzie do prawdy Bożej, od której początkowo odbiegła i o ileż potężniej i serdeczniej będzie ją dzierżyła, znając z doświadczenia wszystkie przepaści fałszu... Taki pochód świata i ludzkości — przez zwyciężenie fałszu do prawdy, przez kosztowanie zła do dobra — przez człowieka obrany, ale przez Boga po bożemu przeobrażony, wszechstronniej objawia i wielbi Boga i doskonałości jego i nierównie cudniej ubłogosławia i uświęca ludzi. Stanąwszy u portu śpiewać będą o Adamowej przygodzie, która ten szczęśliwy koniec sprowadziła: O felix culpa! — co już Kościół, jakby z przeczucia Zmartwychwstania śpiewa. I dla tego właśnie końca Dobroć wszechwiedząca ową szczęśliwą winę na początku dopuściła“.

„Pessymizm — kończył ksiądz — to mgła, która tylko na nizinie utrzymać się może; wyżej, przed obłokiem ziemskiego poznania, w świetle prawdy od Boga objawionej, promienieje jasność optymizmu“.

„Ach! gdyby można wierzyć!“ — wyrwało się z ust Siemionowa. Nie wszystkich zapewne przekonały słowa księdza, bo tylko gromy z nieba w postaci wielkich wstrząśnień duchowych zdolne są zbłąkanych wędrowców zwrócić z fałszywej drogi napowrót do ojczystego grodu wiary, z którego wyszli. Ale wszyscy byli poruszeni, wszyscy czuli, że kwestyę istnienia złego katolicyzm przez usta księdza rozwiązywał najszerzej, najzupełniej, najpiękniej, w sercach wszystkich niezawodnie zadrżały ciche struny lepszych jakichś tęsknot rozbudzonych urokiem tajemnych głębin myśli, którą Kościół w śpiewie o *felix culpa* zawarł. Pochmurne przy początku rozmowy niebo wypogodziło się pod koniec. Niejedne oczy instynktownie wpatrzyły się w gwiazdy. „Nie mówiliśmy nic; ale czuliśmy, zdaje mi się, wszyscy, że piękność z góry spływająca nas owłada i wierzyć w siebie każe“.

Bielski w rozprawach tych nie brał udziału, pozostał w pokoju, nie chcąc wyjść na terasę z powodu zimnego powietrza. Zapomniał jednak autor dodać o drugim powodzie jego nieobecności: przyjechał był do niego w odwiedziny z niedalekiej Genewy docent tamecznego uniwersytetu Dr. Leon Winiarski i przywiózł z sobą artykulik swój o Tołstoju, przeznaczony do jednego z radykalnych pism krakowskich (Krytyka 1896, wrzesień). Rzecz tę wspólnie przeczytali i na tem tle dalszą między sobą prowadzili rozmowę. Bielski opowiadał o dziwnem wrażeniu, jakie na niem wywarł Siemionow, człowiek wykształcony, a pomimo tego pod wpływem Tołstoja religijną jakąś manią owładnięty. Na to p. Winiarski począł mu rozprawiać o rozmaitych umysłowych obłędach dzisiejszej epoki, przyczem postawił tołstoizm w jednym rzędzie z dekadencyą, spirytyzmem, czarną i białą magią. Następnie, przechodząc do osoby samego Tołstoja, dowodził, że człowiek ten był zawsze duchowym kaleką, krótkowidzem, niezdolnym do objęcia okiem i zrozumienia wspaniałych horyzontów poezyi złego, bez czego „nie jest możliwy żaden wielki poeta i twórca“. Od młodu zaplątał się jego umysł w zagadnieniach etycznych, „ciasne moralizatorstwo zasłoniło mgłą jego artystyczne poloty“ i „sucha świętobliwość szkockiego kwakra“ wystąpiła w swej „wstrętnej“ postaci w największych jego dziełach, jak *Wojna i Pokój* i *Anna Karenina*. Pan Winiarski zapalał się coraz bardziej. Moralność — twierdził — zabiła w Tołstoju artystę, zaniedbał on formę, wpadł pod tym względem wprost w „niechlujstwo“, „mowa jego przypomina protoplazmę duchową“. Moralizatorskie usposobienie poczęło z biegiem czasu przybierać w nim coraz bardziej „chorobliwe“ odcienie. Dziś pisuje on broszury teologiczne, w których nie ma nic oryginalnego, niedawno wydał dziełko *Le salut est en vous*, w którem na przestrzeni kilkuset stronic rozwija myśl, że kto walczy mieczem, zginie od miecza, wyprowadza z niej naukę o niesprzeciwianiu się złemu, potępia wszelki przymus, wpada w mistycyzm, który znamionował pierwsze wieki uciskanego w Rzymie chrześciaństwa, słowem, tworzy „utopię wstrętną“.

Imię p. Winiarskiego jest prawie nieznane, ale stanowisko docenta, które zajął w Genewie, świadczy, że pod względem naukowym przerósł on zwykły u nas poziom dziennikarski. Robię mu więc tę małą reklamę i przytaczam jego nazwisko, chcąc poprzeć to, co powiedziałem wyżej o zmateryalizowaniu naszego społeczeństwa, nie zdarzyło mi się bowiem spotkać u żadnego z piszących po polsku takiej rzeczywiście „wstrętnej“ antypatyi do ideału moralnego. P. Winiarski jest radykalistą, ale chyba pod względem krańcowości nie zaszedł dalej, niż Tołstoj, który wraz z przymusem odrzucił wszelką władzę i zamarzył o społeczeństwie wolnem od Kościoła i Państwa; zdawałoby się przeto, że polski dziennikarz znajdzie jakieś słowo uznania dla rosyjskiego pisarza, ale gdzie tam! znienawidził go, nie mogąc mu wybaczyć, że ma ideał moralny i że tą drogą chce poprowadzić ludzkość do wymarzonego szczęścia. Trudno o silniejsze świadectwo zaniku zmysłu moralnego! I są pisma, które takie artykuły umieszczają! Niestety, w tych samych i pokrewnych im pismach znajdujemy niejednokrotnie ubo-

lewania nad zacofaniem Stojałowskiego, który do swego stronnictwa chce przyczepić przebrzmiały i śmieszny epitet chrześciański[1]), znajdujemy nawet porównania dzisiejszych agitatorów społecznych, kroczących śladem Pankracego, do apostołów, którzy szli zwiastować ludziom radosną nowinę o Odkupicielu świata i nauczać ich miłości, przebaczenia, nie „sprzeciwiania się złemu" [2]). I nie potrafiłbym tego wytłomaczyć czem innem, niż obniżeniem poziomu moralnego, które nastąpiło skutkiem wyczerpania się (chwilowego zapewne) żywotności religijnej po mistycznych poprzedniej epoki polotach w kraje wyzwolonego ducha.

Oczywiście p. Winiarski mógłby tu tryumfująco na mnie spojrzeć i zapytać, czy ja, czy my wszyscy, którzy mienimy się chrześcianami, stosujemy zasady nasze do życia, czy możemy naszą wyższość wykazać. Na pytanie takie pozostałoby nam tylko spuścić oczy z nieskończenie gorzkiem poczuciem niemocy własnej i grzesznego lenistwa. Inaczejby świat wyglądał, gdybyśmy my, co solą ziemi być mamy, spełniali te, co Chrystus przykazał. Na usprawiedliwienie nasze to jedno przytoczyć możemy, że oni, odrzuciwszy prawo Boże i pokłoniwszy się rozumowi, łatwe do osiągnięcia postawili przed sobą cele, nasz zaś ideał niezmiernie jest trudny i nieskończenie daleki. „Rozum — powiedział gdzieś Taine — mało ma wpływu, służy on zwyczajnie tylko do tego, aby nam wytłomaczyć, że to, co nam się podoba, jest prawdą, dobrem i pożytecznem". Dość więc tym panom rzucić chłopom i robotnikom kilka broszur agitacyjnych, kilka potwarzy na księży i panów, a będą mogli zasnąć spokojnie w przeświadczeniu, że są rycerzami postępu. My spokoju nie znamy. Z nad szczytów naszych kościołów świeci nam ideał i nie daje zamrzeć w odrętwieniu. Idziemy, padamy, ale czujemy, żeśmy upadli, dręczymy się, walczymy z sobą, przechodzimy nieraz przez nieznane przeciwnikom naszym przepaście życia wewnętrznego. Mówią, że wiara jest dla nas źródłem pociech — ale opary ziemi osiadły w sercu, rozum zaskorupił się i zleniwiał, przestaliśmy czuć obecność Boga, nie porywa nas „invisibilium amor" — wiara, która tleje gdzieś w duszy, już nie pociechę, ale udręczenie nam przynosi. I myśli nasze o Bogu podobne są, jak wyraził się św. Augustyn, do wysileń tych, co się chcą obudzić i powstać, ale sennością pokonani, z dręczącem uczuciem ociężałości w członkach, ociągają się i znów wpadają w sen. Żyjemy w rozterce między naturą, która ciągnie do buntu, a myślą o Bogu, który umiłował nas pierwej, niżliśmy my Jego umiłowali (Ew. Jan. Listy I., IV., 19, dm. 34). Rozterka szczęściem nie jest, ale zasnąć nie daje, budzi żądzę doskonalenia się, wyrabia pokorę, słowem pcha do postępu, bardzo drobne robimy i chwiejne kroki, ale tę mamy pociechę, że widzimy wśród nas wybrańców Bożych, olbrzymów ducha, świętych, którą tylko społeczność kościelna wydawać jest zdolna. Umiłowani przez Boga, bo „czyści jak lilie" są oni, jak Anhelli, psalmem odkupienia za grzechy milionów.

Tęsknota do takich nadludzi stanowi jednę z cech naszych czasów i świadczy o rozpowszechnionej świadomości opadnięcia charakterów pod wpływem deterministycznego poglądu na człowieka. Tęsknota ta znalazła dziś, jak to już zaznaczyłem, spaczony wyraz w filozofiach Renana i Nietzschego, które powstały z syntezy pessymizmu z panteistycznym indywidualizmem. Otóż po załatwieniu się z pessymizmem pozostało O. Morawskiemu przejść w następnych wieczorach do drugiego kierunku dzisiejszej epoki. Ta jednak między kierunkami temi zachodzi różnica, że wówczas, gdy pessymizm, będąc u wielu tylko nieokreślonym nastrojem, przeobraża się w umysłach ściślejszych w jednolity system filozoficzny, panteistyczny indywidualizm jest przedewszystkiem nastrojem i nie wiąże się zbyt ściśle z żadną filozofią, wprawdzie Hegel i później Feuerbach postanowili wtłoczyć go w ramy doktryny wszechstronnie wykończonej i ogarniającej całość świata, nie zdołali jednak wyczerpać jego treści, układał się on do zgody i z innemi poglądami na świat. Leopardi, o ile wiemy, Schopenhauera nie znał, tymczasem poezya znękanego Włocha i filozofia Niemca były mimowiednie spojone ze sobą węzłem siostrzanym, wówczas, gdy pokrewieństwo między poezyą Byrona lub Shelleya a nauką Hegla zdawało się bardzo dalekiem prawie niemożliwe, a oczywiście nie mogło być nawet mowy o jakiejkolwiek wspólności chrześciańskich marzeń Lamartine'a z Feuerbacha nienawiścią do chrześciaństwa. Pomimo tego tło było to samo: i tu i tam te same panteistyczne tęsknoty i ten sam rozmach wybujałego indywidualizmu.

Wobec tego dawszy odprawę w ciągu trzeciego wieczora pessymizmowi, nie mógł autor tak prędko i wyczerpująco rozprawić się z mniej uchwytnym kierunkiem, który na schyłku zeszłego wieku wykluwał się z rojeń Rousseau, który potem przez Byrona i romantyzm, przez Hegla i filozofię niemiecką, przez Renana i sybarytyzm dyletantów dobiegł do dni naszych i błąka się dziś po lodach Skandynawii, po przepaściach obłędu Nietzsch'ego i tu i owdzie zagląda nawet do odrodzonych tęsknot religijnych. Zamiast tego, dając nam w dalszym ciągu apologią chrześciaństwa w ogóle, w szczególności zaś katolicyzmu, ksiądz więcej niż z pessymistą Siemionowym rozprawiał z uczonym Hainbergiem, z powieściopisarzem Leroy, z marzycielką Wilson, którzy wolni będąc od pessymizmu, większą natomiast w badaniach swoich i w twórczych marzeniach mieli styczność z wspólnym tylu kierunkom umysłowym tego wieku panteizmem i indywidualizmem.

---

[1]) Por. Krytyka, 1896, Październik.

[2]) Por. *Dziennik krakowski,* 1896, 25 grudnia, artykuł *Idea.*

Stosując się do usposobienia współbiesiadników swoich, ksiądz, wytłómaczywszy z pomocą Deville'a w ciągu czwartego wieczora, czem jest chrześciaństwo wśród innych religij, przeszedł do osoby Chrystusa. Wykazanie pierwszeństwa nauki Zbawiciela nie było trudne, wypływało bowiem ze wszystkiego co przedtem powiedziane zostało tak przez księdza jak przez pastora i co inni z niezaprzeczonem, choć może nie bezwzględnem, uznaniem przyjęli. Skoro bowiem, zaznaczywszy powszechność religijnych uczuć i ich potrzebę, zgodzono się, że nauka i religia nie wchodziły sobie w drogę i wyjaśniono, że rozpaczliwą dla wielu kwestyę istnienia i znaczenia złego w świecie, tylko Chrześciaństwo mogło rozwiązać wszechstronnie i zadawalniająco, pozostawało ukorzyć się przed niem, jako religią jedyną i prawdziwą. Wszakże krok ten nie był łatwy dla tych, którzy wychowali się i zżyli ze sceptyczną atmosferą wieku. Dla tego to autor, mając na widoku dzisiejszy stan umysłów znużonych niewiarą a stęsknionych, choć nie zawsze świadomie, do tych dusz silnych, które tylko na gruncie silnej wiary wyrastają, zastanowił się stosunkowo bardzo obszernie nad postacią Chrystusa, jako postacią nadzwyczajną, jedyną.

Rzecz tę poruszył pierwszy Leroy, jako artysta i psycholog. Wynikiem jego literackiej obserwacyi jest to, że Chrystus niema charakteru. „Przynajmniej — dodaje [1]) — jest w nim coś, czego inaczej określić nie mogę. Każdy człowiek — my, którzy portretujemy ludzi, wiemy o tem doskonale — ma pewne rysy duchowe wysunięte, inne cofnięte i to stanowi znamię jego indywidualności. A czy jest coś takiego u Chrystusa? Czy można powiedzieć, że u niego rozum np. górował nad uczuciem, albo, że uczucie górowało nad rozumem? Czy energia przewyższała roztropność, albo roztropność energię. Czy rzewność i melancholia go cechuje, czy odwrotnie, swoboda myśli? Czy on jest, jak się dziś mówi „intelektualnym", czy człowiekiem czynu? Z którejkolwiek strony mu się przypatrzymy, zaraz mamy ochotę tę stronę uznać za najwybitniejsze jego znamię; ale oglądając go i przysłuchując mu się dalej, spostrzegamy niebawem, że wszystkie inne strony do tego samego stopnia wypukłości dochodzą". To samo potwierdza Hainberg. Badania doprowadziły go do wniosku, że w charakterze Chrystusa nie było żadnej ewolucyi, w działaniu „żadnego wahania, żadnego macania w początkach". Odrazu podjął on olbrzymie dzieło, o jakiem żaden człowiek nie marzył, dzieło królestwa bożego na świecie, przystąpił do niego z całą świadomością jego wielkości i powodzenia, a w nauczaniu nie było również śladu postępu i rozwoju. Zjawisko z punktu psychologicznego niewytłómaczalne. Oczywiście Deville i ksiądz posunęli się dalej w tym samym kierunku. „Każdy widzi w Chrystusie — dowodzą — i czuje swój ideał. Jest on uniwersalny, jako pełnia wszech przymiotów, które ludzkość częściami posiada. Zawsze jest w nim coś niedościgłego, nigdzie nie widać granic; słowem, wszędzie przeziera absolut". Logicznym wnioskiem — dodaje Deville — płynącym z uwag i spostrzeżeń panów jest uznanie Chrystusa za wcielenie Bóstwa, za doskonałość absolutną, objawiającą się w zdrobniałej postaci człowieka". Tu zatrzymuje się pastor, ale ksiądz śmiało przenosi rzecz na grunt wiary i mówi o cudach Chrystusa, „składających całą kanwę jego życia w Ewangelii"; jeśli je ztamtąd wyrwać „rozerwie się wszystko i nic w ręku nie zostanie, tylko strzępy nie trzymające się kupy". I nietylko czyni Chrystus cuda, ale mówi nieustannie o boskości swojej: „Wy panowie neochrześcianie, Tołstoiści *et consortes* wyczytujecie w Ewangelii tylko same nauki moralne, mające przywilej wam się podobać, a dogmatu, który w niej stoi, jako podstawa całej budowli, jako ustrój kostny tego organizmu, jakoś umiecie nie spostrzegać wcale. Chrystus często naucza o miłości, prawda; ale jeszcze częściej wymaga wiary i o niej mówi. O swojem bóstwie w szczególności mówi Chrystus na każdej niemal karcie Ewangelii, do uczniów, do tłumu, do faryzeuszów, — a mówi sposobem najzrozumialszym, jaki być może".

Takie dowodzenia, choć popierane przez Deville'a, przyjęte przez miss Wilson, rażą innych współbiesiadników. „Czciłem i kochałem Chrystusa — woła zasmucony Siemionow — jako cudo ludzkości — a teraz wyrywacie mi go z serca, z duszy, bo co pocznę z Chrystusem—Bogiem!" „Chyba całe istnienie jego— woła Leroy — włożyć między mity. Ale i to się nie da — wiem o tem". „Nie, panowie — odpowiada ksiądz — nie robimy wam krzywdy. Wyrywamy wam z serca bożka własnej kreacyi, a oddajemy Boga, który da wam więcej niż spokój, bo szczęście. Tylko nie stawajcie uporczywie wpół drogi". Deville wtedy zwięźle streszcza wszystko, co powiedziane zostało o Ewangelii i Chrystusie, zwłaszcza o stosunku Ewangelistów do Niego, i biorąc Ewangelię do rąk woła w końcu: „Tej oto małej książki uprzątnąć z drogi nie możecie! Ona jest — i niema żadnego innego wyjścia, tylko uwierzyć i paść na kolana!" „I pomodlić się do Niego" — dodaje miss Wilson. „A ja przynajmniej — mówi Leroy — odmówię modlitwę, której On nas nauczył".

Szóstego wieczoru zjawia się nowy gość, przedstawiciel najbardziej katolickiego narodu, Hiszpan, Don Luiz de Pardoval i wprowadza rozprawy na nowy tor, przed którym zrazu jakby się był cofnął ksiądz, kierując się delikatnością względem wiernego dotąd pomocnika w dyskusyi, pastora Deville'a. „Wywodom panów wszystkich — powiada Hiszpan, dowiedziawszy się o treści uprzednich rozmów — brak niezbędnego określenia. Nie chrystyanizm wogóle okazuje nadziem-

[1]) Przytaczam w streszczeniu.

ską moc i zbawia ludzkość — ale chrystyanizm katolicki. Kościół katolicki — to jest dopiero konkretny twór Chrystusa w świecie, w którym namacać można boskość".

I z inicyatywy Hiszpana dwa ostatnie wieczory zostają poświęcone wykazaniu wyższości katolicyzmu nad protestantyzmem i schyzmą. Tu daje autor dowody wielkiej odwagi i głębokiego przeświadczenia o słuszności swej sprawy, wkładając w usta przeciwników dowody na pierwszy rzut oka niezbicie silne. Między innemi wskazuje Hainberg na fakt, że nietylko zostały kraje katolickie w tyle za protestanckiemi pod względem cywilizacyi i potęgi materyalnej, ale nawet zatracają wszelką religijność, wówczas gdy protestanci zachowali przynajmniej cześć dla Ewangelii. Nie zbija to jednak z tropu, ani księdza, ani Pardovala. Nie zatrzymując się nad ich rozumowaniami zwrócę tylko uwagę na jeden argument, najdonioślejszy, bo najlepiej odpowiadający duchowi dzisiejszych czasów. Oto już przedtem Hainberg, Leroy i inni, nie uznając bóstwa Chrystusa, podnieśli jednak byli, że jest on postacią najnadzwyczajniejszą, teraz ksiądz do tego dąży, aby zgodzili się też z faktem, że największymi duchami ludzkości byli właśnie Ci, którzy w Kościele katolickim szli śladem Chrystusa. „Chrystyanizm — mówi Hainberg, polemizując z księdzem — rozrastał się od początku swej historyi w rozmaite konary, z których każdy miał pretensyę być jedynie prawdziwym chrystyanizmem, ciągiem dalszym Kościoła, który Chrystus założył; ksiądz obecnie tę pretensyę na korzyść jednego z tych konarów, rzymskiego Kościoła, ponawia".

Nie — odpowiada ksiądz — i dłuższą w tej rzeczy przemowę kończy uwagą, że „przy bliższem oglądaniu rośnięcie historyczne chrystyanizmu nie przedstawia się jak krzew puszczający wiele różdżek z jednego korzenia, ale jak drzewo, z którego raz po raz odłamują się gałązki i po opadnięciu schną"... „Kościół — ciągnie on dalej [1]) — świadomy zawszej swej nieomylności w nauczaniu, odcina te gałązki, po czem giną one niechybnie, jedne po kilku pokoleniach, inne po kilkunastu, stosownie do tego, jak długo starczą im soki z pnia zachowane; wszystkim jednak zaraz po odcięciu więdnienie wróży nieuchronny koniec. Katolicki pień tymczasem zostaje zawsze, czem był. A to dlatego, że jest w kościele pierwiastek Boży, który według obietnicy Chrystusowej jednoczy, organizuje, i wyrazem tego pierwiastku są właśnie owi ludzie opatrznościowi (nadludzie, mówiąc stylem Nitzsche'go) którzy, zapaleni miłością Chrystusa, za wzór go sobie obrawszy, przyświecają dziejowemu pochodowi Kościoła. W pierwszych wiekach, na schyłku rzymskiego państwa, ambicya i dworactwo szeroko zarażają episkopat, ale przychodzą Ambroży, Chryzostom, Atanazy, Cyryl, którzy czystość wiary i niezawisłość hierarchii ocalają. Później po zalewie barbarzyńców, następuje ciemnota, srogość, rozkiełznanie popędów, zepsucie najwyższych dostojników i papieży, ale Duch św. wzbudza takich olbrzymów jak Grzegorza VII., takie anielskie postacie jak Franciszka z Assyżu. W epoce odrodzenia przysłonięte czarem sztuki klasycznej, pogańskie pojęcie życia szerzy się nietylko wśród świeckich, ale i kościelnych sfer, lecz niepożyta żywotność Kościoła bierze znowu górę, wspaniale odmładza się na soborze Trydenckim i wznieca nowych olbrzymów Ignacego Lojolę i Piusa V., Wincentego à Paulo i Filipa Neri, Jana od krzyża i Piotra z Alkantary. W zakonach zwykli wyrabiać się ci ludzie i one stanowią najcudowniejszą ozdobę Kościoła, w ciągu wieków wyłaniały się z niego jedne po drugich i zdumiewającym nakładem pracy i poświęcenia przeobrażały świat; jedne, osiedlając się na pustkowiach, tworzyły gniazda kwitnącej kultury; drugie stawiały szpitale, poświęcając się heroicznie pielęgnowaniu trędowatych; inne szły za morza wykupywać niewolników, z przysięgą oddania w potrzebie siebie samych w niewolę za braci; inne tymczasem, jak zamknięte ogrody, pielęgnowały najwyższy ascetyzm, wydawały takie nieporównane kwiaty, jak pisma Bernarda, Gertrudy, Tomasza a Kempis; inne jeszcze oddawały się nauce, inne kaznodziejstwu; wszystkie razem, łącznie z zwierzchnikami Kościoła, wytworzyły tę cywilizacyę, której wyrazem w sztuce są katedry gotyckie, Giotto, Dante, w nauce summa Tomasza z Akwinu, w polityce rzeczpospolita chrześciańska, za której idealne interesa wszyscy byli gotowi krew swoją przelać..." „Zna pani — zwracał się w końcu ksiądz do miss Wilson — modlitwę i pobożność w innych wyznaniach, ale kiedy Pani zobaczy choć zdaleka modlitwę świętych, niewysłowione ich zjednoczenie z Bogiem, wzloty niebotyczne tych dusz ku Niemu i zdroje tajemnicze, które na nie spływają z Niego, to przyzna Pani, że aż się w głowie kręci patrzyć tak wysoko i że ani mowa, ani pojęcia zwykłych śmiertelników tego nie dosięgną. I nie będzie już Pani potrzebowała dowodów na to, że katolicyzm do najwyższej świętości i do najdoskonalszego z Bogiem stosunku prowadzi". „Jedna święta Teresa — wołał zachwycony Hiszpan — jest wspanialszem dziełem Boga, niż np. nawrócenie całego narodu, a każdy święty z bliska poznany jest cudem łaski Bożej, starczącym za dowód boskości religii, która go wydała!"

„Takich świętych — kończył — Kościół katolicki wydawał i wydaje ich stale; posiada on wnętrzną siłę wytwarzania świętości, jak krzak różany ma moc wydawania róż — a żadne inne wyznanie świętych nie wytwarzało".

Tak; święci są to właśnie owi n a d l u d z i e, do których wzdycha epoka nasza, o których marzyli i Renan i Nietzsche, tylko marne rozkosze życia i używa-

[1]) Przytaczam w streszczeniu.

nia przykuły myślicieli tych do materyi i nie dały im poznać gdzie źródła były miłości i mocy ducha, spokoju i szczęścia, zkąd ludziom przyświecała światłość „Drogi, Prawdy i Żywota“.

(C. d. n.) *M. Zdziechowski.*

Czterdzieści cztery.

Śród wielu mniej albo więcej trafnych hypotez, tyczących się tajemniczej liczby Mickiewiczowskiej **44** — może nie będzie bez wartości i moje przypuszczenie, oparte na wielkiem prawdopodobieństwie. Mickiewicz jak wszyscy mistycy, robił wyliczenia tajemnicze, podstawiając liczby na miejsce liter. Alfabet łaciński w cyfrach wystawiony daje taki szereg.

a—1	j—10	s—100
b—2	k—20	t—200
c—3	l—30	u—300
d—4	m—40	v—400
e—5	n—50	x—500
f—6	o—60	y—600
g—7	p—70	z—1000
h—8	q—80	
i—9	r—90	

Zdaniem mojem w liczbie 44 ukrywa się pierwszy werset pacierza: *Ojcze nasz, któryś jest w niebie.*

Podstawmy na zasadzie tablicy powyższej liczby za litery.

Ojcze=60 10+3+1000+5 =	1078
nasz=50+1+100+1000=	1151
któryś=20+200+60+90+600+100 =	1070
jest=10+5+100+200 =	315
w=400	400
niebie=50+9+5+2+9+5 =	80

W otrzymanych sumach uczyńmy dodawanie mistyczne, tj. dodajmy cyfry.

1078, 1+7+8=16; 1+6=7
1151, 1+1+5+1=8
1070, 1+7=8
315, 3+1+5=9
700, 4+0=4
800, 8+0=8

Otrzymujemy więc ostatecznie szereg:

7+8+8+9+4+8 = **44.**

Jeżeli rozważymy, że za czasów Mickiewicza — było powszechne oczekiwanie Mesyasza, t. j. nowego objawiciela nowej modlitwy, nowego Ojczenasz — to stanie się prawdopodobne, że liczba 44 może oznaczać tego, który ma nową modlitwę wygłosić, tj. Chrystusa przyszłości.

Do przypuszczenia swego nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi; rozumowanie moje zawiera może w sobie nieco dowolności, przecie wobec wielu innych hypotez, ma i ono pewną racyę bytu.

Antoni Lange

Wcześniej znacznie, niż otrzymaliśmy powyższy artykuł p. Antoniego Langego, przesłał nam p. Zygmunt Moczarski obszerne sprawozdanie z badań nad tymże przedmiotem p. Daniela Toporskiego, autora dwutomowych „Przyczynków do studyów nad twórczością Adama Mickiewicza“. Byłto elaborat zbyt obszerny, abyśmy go mogli umieścić w *Przeglądzie literackim* — zresztą znane są nasze zapatrywania na prace p. Toporskiego (patrz *Przegląd literacki* 1896 nr. 7), ponieważ jednak drukujemy „przypuszczenie“ p. Langego, i widzimy, że rozwiązanie tajemniczej liczby wciąż zajmuje umysły, przeto dajemy „przy sposobności“ wyjątek z „badań“ p. Toporskiego:

„Nikt nie zauważył, że Mickiewicz jako wieszcz polski pochodził z matki obcej „Litwy“, a ród jego istotnie jest „dawne bohatery“, o czem poeta już po napisaniu „Widzenia“ z pewnym naciskiem mówi w „Panu Tadeuszu“: „Poraj — krzyknął Mickiewicz, „Korab’ w polu złotem, herb książęcy, Stryjkowski gęsto pisze o tem“. Nikt nie pomyślał, że trzy wyschłe ludy, trzy korony, trzy stolice — to Polska, Litwa i Ruś, to podstawa moralna Przeszłości, na której wyrosła i zabłysła wielka poezya swobody w przyszłości, a której on jako wieszcz i prorok i człowiek przeznaczenia jest najwyższym „namiestnikiem wolności na ziemi widomym“, co na trzech swojej ojczyzny stojąc koronach, a sam bez korony, zbuduje ogromy swego poetycznego kościoła.

„Z potężnem przeświadczeniem o swem poetycznem posłannictwie, Mickiewicz nie mógł mówić wprost o sobie bez narażenia się na pociski pesymistów lub co gorsza na zarzut niewczesny pychy, jakiej w tem głębokiem sercu ani cienia nawet nie było, jak tego dowodzą trzy pierwsze strofki wiersza „Rozum i Wiara“, oraz rozmowy ks. Piotra ze złymi duchami i z Konradem, którego pokorny kapłan wydźwignął z przepaści zwątpienia. I dla tego Mickiewicz z głębokim rozmysłem natchnionego słowa rozdzielił „Widzenie“ na dwie części; w pierwszej upodobnia losy narodu z ofiarą Zbawiciela świata, a w drugiej, w formie i w duchu Apokalipsy (Objawienia św. Jana), opowiada widzenie moralnie zwycięzkiej przyszłości. W pierwszej części występuje naród i jego Wskrzesiciel, któremu na imię „będzie“ Czterdzieści i cztery; w drugiej zwycięzki „Namiestnik Wolności na ziemi widomy“, którego imię „już jest“ (w przyszłości) Czterdzieści i cztery; w pierwszej występuje idea ofiarna i działająca — w drugiej tryumfująca.

„Ze względów etyki wyższej nie mógł Mickiewicz pozostawić swej poezyi bez czynnego i widomego na ziemi „namiestnika wolności“, ani pozbawiać narodu „Sławy“ i potężnej otuchy w niedoli moralnej, że wyłonił z siebie poetę świadomego dziejowych dróg jego przeznaczenia, oraz wysokiego posłannictwa. Zamknął więc swoje imię i nazwisko w dwukrotnie powtórzonym w „Widzeniu“ arytmografie; a czynił to tak zręcznie i subtelnie, że dopiero głębsze psychologiczne zrozumienie, a raczej rozświadomienie całkowitej twórczości wieszcza mogło odkryć tajemniczą osobistość „męża“. Jeżeli weźmiemy liczby liter imienia i nazwiska poety i ułożymy je w następujący sposób:

Adam + Mickiewicz + Adam = 44,
4 10 4

będziemy mieli pierwsze rozwiązanie łamigłówki arytmograficznej, gdzie dwukrotne użycie imienia Adam, jako powtórzonej czwórki mogło posłużyć do tem zawilszego ukrycia istotnego nazwiska. Drugie rozwiązanie jest równie proste: kreski wydrukowanej litery M stanowią rzymską liczbę 41 (?), do której gdy dodamy pierwszą literę imienia, ale odwróconą dolnymi końcami do góry, według dawnej pisowni starożytnych, t. j. ∀ w znaczeniu Apis, czyli wół, i dodamy do litery nazwiska, to otrzymamy MV, czyli rzymskie 44 (?). Którego z tych dwóch arytmografów Mickiewicz mógł użyć, jest rzeczą obojętną, bo gdyby znalazło się ich więcej, kwestya ta byłaby jałową ciekawością, który z nich mniej lub więcej zręcznie ukrywa osobistość poety, nie mogąc stanowić żadnego przekonywającego dowodu. Bo powtarzamy tu z naciskiem, że najwyższym niezaprzeczalnym dowodem jest potężna etyka i harmonijnie konsekwentna psychologia wszystkich dzieł wieszcza-proroka.

Poprzestajemy na tym wyjątku, stanowiącym zaledwie dziesiątą, równie „oryginalną“, część dowodzeń p. Toporskiego, które zresztą ma rozwinąć w dziele: „Adam Mickiewicz jako wieszcz przeszłości i syntezy“.

Kiedy jednak wskutek artykułu p. Langego poruszyliśmy kwestyę wyjaśnienia, co oznacza „imię czterdzieści cztery“, nie od rzeczy będzie, jeżeli przytoczymy zdanie prof. Józefa Kallenbacha, autora świeżo wydanego dwutomowego studyum o Mickiewiczu [1]). Oto słowa Kallenbacha:

„Kiedy poeta mówi:

I dasz ich wszystkich wygubić za młodu
I pokolenie nasze zatracisz do końca?
Patrz, ha! to dziecię u s z ł o... r o ś n i e... to obrońca...

to z tych słów wnoszono [2]), że mowa tu o samym poecie, który uszedł z Rosyi i miał stać się moralnym obrońcą narodu. Cóż, kiedy:

Z matki obcej, krew jego dawne bohatery,
A imię jego będzie czterdzieści i cztery!

„Kto to jest?“ Próżno objaśniać, skoro zagadki sam poeta objaśnić później nie zdołał. Najbliższym prawdy zdaje mi się być syn poety, p. Władysław Mickiewicz. W osobnym komentarzu francuskim do przekładu „Dziadów“ (Melanges posthumes, II, 271—279) zestawia p. Władysław Mickiewicz wierzenia ludów w mistyczną wartość liczb, przypomina, jaką rolę odgrywa w Starym Testamencie liczba 4 i 40, zastanawia się nad kabalistycznym sposobem tłómaczenia imion z cyfer i dochodzi do przypuszczenia, że 44 może być równoznacznem z wyrazem hebrejskim m a d, t. j. przestrzeń, albo A b i e l, t. j. ojciec bohatyra. Autor nie sądzi, aby w liczbie 44 należało szukać imienia własnego, skoro Mickiewicz stosował później sam tę liczbę do nazwiska Towiańskiego, niemającego żadnego związku z 44. Najwięcej trafia mi do przekonania to, co autor pisze o domniemanym wpływie lektury współczesnej na Mickiewicza. — Pisarz, w którym Mickiewicz rozczytywał się pilnie, jeszcze może w Rosyi, Saint-Martin, poświęcił wiele ustępów w swych dziełach mistycznych znaczeniu liczby 4. Nie mogąc tu rozwodzić się nad tą kwestyą, zaznaczę tylko najważniejszy ustęp, odnoszący się do tej zawiłej sprawy: „C e n o m b r e (le quaternaire), qui tient à la fois à l'e x p i a t i o n et à la r é g é n é r a t i o n s'étend, ou se resserre en raison de l'Objet que les Etres ont à remplir. L e p r e m i e r h o m m e m a r c h a p a r q u a r a n t e, pour obtenir la remission de sa faute et la reconciliation de sa postérité temporelle... le l i b é r a t e u r des Hebreux marcha par q u a r a n t e pour obtenir la delivrance de son peuple“. (Tableau naturel des rapports... Edimbourg 1782, II, 149). W temże dziele Saint-Martin ogłasza na innem miejscu (str. 129—153), że mówić o liczbach nie może wyraźnie, bo do tego trzeba osobnego przygotowania: „l e s n o m b r e s s o n t l e s e n v e l o p p e s i n v i s i b l e s d e s E t r e s, comme les corps en sont les enveloppes sensibles“. „Toute action, comme tout mouvement toute progression est quaternaire“. Por tegoż: „Des Erreurs et de la Vérité... Edimbourg 1775, str. 411—416; o potędze liczb: L'Homme de Desir. Lyon 1790, str. 102—3, 333, 346—7. Jeśli Mickiewicz to wszystko czytał, nie dziwi mnie wcale, że bohatyra nieznanego nazwał 44. — Nadto możemy tu mieć do czynienia po prostu z refleksem bezwiednym pamięci.

„Mickiewicz mówiąc w Collége de France o poemacie Dierżawina i zawartej w nim aluzyi o Napoleonie, tak się wyraża: „Długi ten hymn cały jest napełniony myślą religijną. Poeta wznosi się tu do sfery tajemniczej, m ó w i n a w e t j ę z y k i e m A p o k a l i p s y.

[1]) Adam Mickiewicz przez ... Kraków. Spółka wydawnicza polska. 1897, tom II., str. 54.

[2]) Cybulski (l. c. 74) zestawia z tymi wierszami te słowa z przedmowy do dramatu: „Z tylu wygnańców jednemu tylko dotąd udało się wydobyć się z Rosyi“.

Napoleon dla niego jest to Antychrystem, to bestyą z objawienia św. Jana. Uczony profesor dorpacki Gezel, w raporcie urzędowym przedstawił ministrowi rozprawę, w której przez rachunek kabalistyczny dowodzi, że imie Napoleona jest liczbą 42 i znaczy Antychryst [1]). Dierżawin przytacza to w nocie dla objaśnienia kilku swoich wierszy". (Literat. Słowiańska, tłom. Wrotnowskiego, Poznań 1865, II, 243). Znając kult Mickiewicza dla Napoleona, łatwo przypuścić, że bohatyra swego obleka w szatę cyfrową, bardzo zbliżoną do cyfry Napoleona. Wiarę w cyfry ma także Swedenborg: „Ich wurde unterrichtet, dass diese Schreibart in Zahlen aus dem innersten Himmel sey, und dass die himmlische Schrift der Engel, sobald aus ihr ein Gedanke herabfliesst, in Zahlen dargestellt werde und dass diese Zahlenschrift ebenfalls Geheimnisse in sich enthalte, deren einige nicht mit den Gedanken begriffen noch mit Worten ausgedrückt werden können". (Vom Himmel wie auch von der Geisterwelt und von der Hölle... von Emanuel Swedenborg... getreulich übersetzt, 1784, str. 300)."

RECENZYE i SPRAWOZDANIA.

Kazimierz Tetmajer. »*Wybór poezyj*«. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1897, str. 231.

Doczekał się tego i p. Kazimierz Tetmajer, że zbioru poezyj swoich nie potrzebuje własnym drukować nakładem.

Co prawda, musiał na ten dowód poczytności, a więc i pokupności, czekać stosunkowo dosyć długo, bo z górą lat dziesięć.

Pierwsza jego praca poetyczna, ogłoszona w Krakowie pod pseudonimem, *Illa*, wyszła 1886 roku. Opowiadając fantazyjne dzieje Gryfa, Sokoła i Illi, dawał młodziutki autor, student jeszcze naówczas, w słowach pełnych prostoty i melancholii, zapożyczonych od Słowackiego, wskazówki narodowi, żeby kochał, ufał, miał wytrwanie i unikał stronnictw.

W rok potem wyszła „Allegorya", mówiąca o miłości chłopa i pięknej jak wolność dziewczyny — miłości, rozerwanej przez brutalną i urągającą się z nieszczęśliwych potęgę jakiegoś dzikiego władcy, opętanego na widok uroczej postaci niewieściej szałem żądzy zmysłowej. Dziewica, doprowadzona do ostateczności, zabija okrutnika i siebie; a skrępowany i więziony chłop, który musiał patrzeć na pohańbienie swej ukochanej, umiera niebawem...

W tych dwu utworach nie było jeszcze ani cienia pessymizmu; przeciwnie, choć poeta widział w życiu dużo nikczemności i dużo złego, nie wątpił przecież, że pierwiastek szlachetny musi odnieść nad podłym zwycięstwo i że radość jak słońce z poza chmur wyjdzie i napełni ludzi uczuciem zadowolenia i szczęścia, byleby im nie zbrakło odwagi, chęci do pracy, miłości ideału i wytrwania.

Podobne myśli i podobny nastrój widać także w wierszach przygodnych, odznaczonych na konkursach: „Ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza". „Ku uczczeniu pamięci J. I. Kraszewskiego". „Z okoliczności sprowadzenia zwłok Adama Mickiewicza".

Służbę dla pięknej, wzniosłej, lubo niedościgłej idei uważał wtedy za obowiązek poety; kreślił przeszkody i niebezpieczeństwa, na jakie narażony bywa każdy, kto oczy swoje zwraca nietylko ku ziemi, lecz je kieruje w bezmiar i nieskończoność; wiedział, że w tym pochodzie ku krainie ideału dla wielu nastanie kres życia, zanim cel osiągną; wiedział także, że w miarę posuwania się naprzód odważnych szermierzy, odległość od celu ostatecznego zmniejszać się nie będzie; nie przerażało go to jednak, gdy wołał w imieniu „Poetów idealistów":

Podobni słońcu, co uwiędłe ziele
Kolebką czyni młodych, świeżych ziół
Jedne osiągłszy, nowe tworzym cele...
W jutra tajemną twarz patrzący śmiele,
Po laur sięgamy dla wyniosłych czół!

Ta wiara młodzieńcza, ten zapał niepohamowany, w latach następnych zmniejszały się, ustępując miejsca zniechęceniu, apatyi, lekceważeniu życia i jego zadań, pessymizmowi coraz to jaskrawszemu. Dwa zbiory poezyi, przedzielone od siebie paroletnią przerwą (1891 i 1894) są już w przeważnej swej części tym nowym przesiąknięte nastrojem. Poeta wyznaje, że „zgubił swą drogę", że myśli jego stały się jako żeglarze, co zbłąkani na wielkiej wód przestrzeni, wśród chmurnej nocy, płyną z wolą wiatrów, ster opuściwszy, zdjąwszy z wioseł dłonie, nie dbając, ku jakim zawiną lądom. Chciałby on uwierzyć w te gmachy przyszłości, pełne ciepła i wesela, które się dźwignąć mają na ruinie „starego świata, co gnije", ale wierzyć nie może; przed oczyma jego coraz ciemniej, a przed nim pustka coraz większa; tak, że nie wie, dokąd iść ma i powinien. Zazdrości też tym wszystkim, których krzepi wiara, że przyniosą szczęście światu nowemu, co z ruin powstanie; lecz „te sny złote mózgów płomiennych" wydają mu się czczemi marami („Zwątpienie").

Jakie były okoliczności zewnętrzne, jakie przejścia duchowe, które młodzieńca rojącego „sny złote" przy-

[1]) W liczbie 666 zawiera się według Getzela imię Napoleona i tytuł jego: Napoleon Empereur. Obliczenie dokonywa się według alfabetu francuskiego (1 = 20, m = 30 itd.); wynika z tego, że i Quarante deux = 666. Obacz: Soczinienija Dierżawina, Czast' wtoraja, SPb. 1834, str. 323—345.

szłości przemieniły w sceptyka i natchnęły go „Hymnem do nirwany“, tego dzisiaj nie wiemy. Że prąd pesymistyczny na Zachodzie wpłynął na p. Tetmajera, tak jak na wielu innych poetów naszych, to zdaje się nie może ulegać wątpliwości; ale ponieważ p. Tetmajer nie jest harfą Eolową, zależną od podmuchów wiatru, lecz się wybitną indywidualnością odznacza, przeto i zmiany zaszłej w jego poglądach i nastroju nie można samem naśladownictwem tłómaczyć. Musiał tam zajść w tej duszy namiętnej i burzliwej, wrzącej wrażliwością nadzwyczajną, jakiś przewrót głęboki, co sprawił, że życie stało się dla niego „splunięcia nie warte“.

Pozostawiając sprawę tę na boku obecnie, stwierdzić tylko wypadnie, że młody poeta utożsamia się z całem spółczesnem pokoleniem zarażonem „nudą, szyderstwem i wstrętem“, co mając cudzych doświadczeń pełną głowę, nie ma odwagi do wyższego lotu w tem przekonaniu, że do niczego lot ten nie doprowadzi. Pokoleniu temu bywa tak źle, że na określenie tej męki braknie wyrazu, choć serce pęka i we krwi pływa.

Jak zwykle się zdarza wśród takiego nastroju, poszukuje poeta wrażeń potęgujących niesmak życia, bolesną zadumę, ponure widzenia, katusze niemocy, targania się bezcelowe. Melancholia, tęsknota, smutek, zniechęcenie, stają się treścią zgorzkniałej duszy. Czasami wzlatuje ona „z smutnym krzykiem tęsknoty“ do sfer „kędy słońce, nieśćmione wyziewami ziemi, jasno gore“; ale niebawem „złamane skrzydła“ opadają, a pierś rani się „o głazów krawędzie, znacząc krwi czerwoną strugą ślady swej ziemskiej drogi“. Oszołomić się wtedy pragnie hukiem burzy, łoskotem wodospadów; albo też puszcza myśl swą na nieprzejrzane okiem obszary oceanu, zawisa na turniach tatrzańskich, zstępuje w otchłanie nędzy ludzkiej, by widokiem cierpienia powszechnego swoje własne uolbrzymić. Nigdy i nigdzie wszelako wytchnienia znaleźć nie może i w tem straszliwsze popada rozgoryczenie, że nie widzi środka wyjścia z błędnego koła jątrzących widziadeł.

Jedna przecież pozostaje dla poety rzecz warta pożądania i hymnu, to miłość. Określenie jej znaczenia jest bardzo charakterystyczne, pozostaje bowiem w niejakiej zgodzie z usposobieniem pesymistycznem. Miłość jest najwyższą z sił, największą z żądz, „duszą duszy“ i „sercem serca“. Jeśli najwyższem szczęściem jest „zapomnienie, bezwiedza i niepamięć“, to miłość jest „szczęściem szczęścia“, gdyż daje „omdlenie duszy i omdlenie zmysłom“, a myśli kładzie „kres upajający“. Jeżeli złudzenia są „jedynem dobrem“, to miłość jest dobrem największem, gdyż daje „najsilniejsze ze wszystkich złudzeń“. Jeśli *pragnienia* są jedyną poręczą, chroniącą od upadku „w przepaść rozpaczy i wstrętu“; jeśli są jedynym mostem, po którym można iść na odmęt nudy; jeśli są jedynem lekarstwem, które broni „od cierpień zwątpienia i zbrzydzeń, pogardy świata i od samowzgardy“; to miłość, jako *matka pragnień* jest ową poręczą, mostem i lekarstwem, jest „zbawczynią ludzi“.

Po „Pieśni nad pieśniami“ Salomona niema chyba drugiego utworu w literaturze powszechnej, któryby piękniej, wymowniej i silniej malował powaby miłości zmysłowej, nie wpadając w błotnistą brutalność — nad „Hymn do miłości“ p. Tetmajera. I on sam nigdzie podobno indziej nie rozwinął takiego bogactwa i świeżości porównań, takiego rozmiłowania się w przedmiocie, jak w tym właśnie hymnie.

W „Wyborze poezyj“ prócz wyjątków z dwu dawniejszych tomików, znajdują się także „Nowe wiersze“, które powstały po r. 1894. Ton zasadniczy, dopiero co zaznaczony, przeważa i tutaj. Chociaż bowiem znaczna część poezyj wywołana została wrażeniami zewnętrznemi, mianowicie widokami przyrody i zabytków sztuki we Włoszech, gdzie poeta kilka miesięcy r. 1895 r. spędził; to przecież jak i dawniej, gdy malował krajobrazy tatrzańskie, tak i tutaj wnosi on raczej swoje uczucia i swój nastrój do świata zewnętrznego, aniżeli z niego je wydobywa.

Pełne grozy lub melancholji bezbrzeżnej obrazy przesuwają się tu przed nami („Grób poety“, „Widziadła okrętów“, „Pusty okręt“, „Pusta wyspa“, „Zbrodnie“ i in.), gdzieniegdzie tylko ustępując miejsca jaśniejszym, pogodniejszym wcieleniom radości i wesela, czy to pod wpływem promieni gorących nieba południowego („Słońce“), czy też pod działaniem podań mitologicznych w malarstwie uwiecznionych („Danae Tycyana“).

Prawie połowa tych „nowych wierszy“ ujęta jest w formę sonetu; autor też przy końcu o „trudnej, misternej budowie“ tego kształtu poetycznego oddzielny sonet napisał, wyrażając swoje w nim upodobanie prześlicznemi porównaniami. Lubi on te „dźwięki pełne, szerokie. bronzowe, brzmiące wiecznie tą samą melodyjną nutą, a w nieskończoną różność motywów rozsnutą, jak mgły na jednem niebie w przeróżną posnowę“. Lubi on „ten mały kościół, w którym jednak może olbrzymi Bóg się zmieścić, jak w potężnym tumie“. Lubi „to górne, wązkie, naskalne wydroże, zkąd runie, kto stóp pewnie położyć nie umie“. Lubi „tę gwiazdę małą, co świeci jak zorza, dźwięk dzwonu, co nie głuchnie w huraganów szumie“.

Mamy także wiersz o sonecie, napisany przez Miriama, ale nie może on iść w porównanie z pięknością tego, jaki utworzył pan Tetmajer i obecnie wydrukował.

Z pomiędzy utworów, formą sonetu napisanych, najpiękniejsze są — mojem zdaniem — dwa przeciwstawne: „Orzeł“ i „Motyl“.

Orłowi, siedzącemu bez ruchu na twardej skale,

zazdrości poeta nie tyle potęgi lotu, ile prawa „do zimnej, spokojnej pogardy". W „Motylu" maluje zgon istoty lekkiej, powiewnej, która wiatrem uniesiona wznosi się nad turnie skaliste, ale zmęczona tym dla siebie niezwykłym lotem, spada w głębinę; motyl „samotny wbiegł pod słońce i zginął samotny".

Szczególnym urokiem łagodnej, a jednak wzruszającej do głębi melancholii porywa ku sobie wiersz „Na Anioł Pański", w którym jedna zwrotka, naśladująca dźwięk dzwonów, powtarza się w pewnych odstępach, aż przy końcu zrywa się niedokończona, jakby echo zamierającego w oddali głosu...

P. Chmielowski.

Jerzy Żuławski. *Intermezzo.* (Poezye)... Kraków, 1897, str. 124.

Pan Żuławski znanym jest już poetą ze zbiorku „Poezyi garść pierwsza". Tematy były tam przeważnie osobiste, ale tu i owdzie błyskała myśl głębsza, rozważanie celu i zadania poezyi. W tymże autorze można się domyślać twórcy „Stanc o pieśni", odznaczających się między ostatnimi poematami wzniosłością i świadomością celu, tudzież energią formy. Domysł ten popiera jeszcze tomik niniejszy wielkiem podobieństwem tak treści, jak i szaty zewnętrznej.

Dzieli się on na kilka części, z których dwie pierwsze: „Kaskady" i „Z różnych strun" najlepiej dają nam poznać indywidualność poety. Treścią ich są przeważnie utwory refleksyjne, rozważające istotę poezyi i jej zadanie. Odrębnie od nowych kierunków żąda autor od pieśni, by była „towarzyszką życia ciemnego, upajała ducha i dzwoniła pobudkę", by wołała „Excelsior" w odpowiedzi na wezwania do użycia, wygłaszane przez „piekielnych ust proroki". Z związku z tem zostaje rozważanie wewnętrznej twórczości i cierpień poetów. Te ostatnie są nieodstępne i konieczne, ale nie powinny się ujawniać. Trzeba „twarz mieć dla ludzi cichą i spokojną", gdyż „po co im wiedzieć, że pierś niby zbrojną toczy cierpień i zwątpień tak wielkich tak wiele".

„Przez me zęby ściśnięte nie przejdzie głos skargi,
ani łza się u świata o litość upomni:
ludziom — jeno pobudkę dzwonią moje wargi!
Wy — ogień wina pijcie z mej duszy kielicha
i zagrzani na słońce wznoście się ogromni, —
męty na dnie i gorycz — sam wypiję z cicha".

Zapomina p. Żuławski, że w wierszu tym sam pierwszy łamie postawione żądanie, wynurzając się ze swemi skargami.

Podobnież w kilku innych ustępach żali się na swą niemoc, przedstawiając rozpacz orła, który z połamanemi skrzydłami siedzieć musi w grocie skalistej i dumać nad swoim upadkiem, a nawet zginąć nie może. Ściera się więc wciąż poczucie wyższości pragnień i potrzeba wskazania ludziom jakiejś nowej drogi, wlania w nich otuchy — z niemożnością uczynienia tego.

Przechodzimy na pole osobiste. Poeta zdaje się żyć tylko wspomnieniami chwil szczęśliwych, teraz bowiem czuje wyczerpanie i zbliżający się koniec. I tutaj góruje również refleksya. Miłość dają nam poznać wyłącznie żałosne wspomnienia minionych dni, wspomnienia jednak spokojne, nigdy nie wybuchające siłą gwałtownego uczucia. Są one nieco zimne i zupełnie pozbawione namiętnego pierwiastku zmysłowego. Czuć w nich jakby pewną pozostałość sentymentalnego romantyzmu. Że do tego rodzaju uczucia przedewszystkiem się skłania, dowodzą nie tylko jego poezye oryginalne, ale i tłómaczenia. Przyswaja on naszej literaturze utwory, poświęcone spokojnym rozpamiętywaniom miłosnym, ładne, ale nie uderzające wyższą siłą ani świeżością. Żali się też, że wiosna tak prędko uleciała i że zbliża się koniec. Temu poświęcony osobny poemacik refleksyjny „Cień"; jestto cień zbliżającej się śmierci, którą poeta przyjmuje ze smutnem, ale spokojnem poddaniem się. I tu mamy rozmyślania nad poezyą, wiarą w cele wzniosłe, po części nad religią, ale pojęcia te nie przedstawiają się nam jasno, niektóre, jak się zdaje, jeszcze się stanowczo nie ustaliły. W poezyi wogóle wzywa wciąż p. Ż. do pieśni, wlewającej otuchę, krzepiącej serca, ale sam jej nie śpiewa; w rozmyślaniach religijnych nie zawsze jest z sobą w zgodzie; to wielbi potęgę i wielkość Boga, to znów żali się, że daleko od Niego odbiegł i że nie u stóp krzyża spocznie.

Poeta zatem chce tchnąć w poezyę nowe życie, ale życie pełne, silne i zdrowe. Nie bawi się wcale w kreślenie niejasnych nastrojów, tak zwyczajne u nowych poetów, lecz przedewszystkiem stawia na czele myśl jasną i pewną. To też refleksya jest u niego stale elementem głównym. Uczucie nie bywa silne, ani głębokie, ani wreszcie zbyt subtelizowane, przeciwnie, ująć je można w kilka ogólnych, zasadniczych kształtów. Fantazya, acz nie uboga, nie góruje jednak, trzymana w mierze. Stąd rozmaitość nie zbyt wielka. Opisy przygody, pojawiające się gdzieniegdzie, nie uderzają swą indywidualnością, służąc do wywołania jakiejś myśli, refleksyi, która zatem tak w tematach filozoficznych, jak w opisowych i miłosnych, pierwsze zajmuje miejsce.

Autor ma zamiar nawet przedstawić „obrazowo, w poetyckiej przenośni, wewnętrzne dzieje myśli ludzkiej". Podane jednak na próbę trzy fragmenty, acz napisane z siłą i plastyką, nie celują oryginalnością formy (ułożone są z różnej długości rytmicznych szeregów), a nadto za mało są, może wskutek swej urywkowości wyraziste, (rzecz pod tym względem w całym zbiorku jedyna), by można o nich stanowczy sąd wydać.

Dwa ostatnie ustępy, „Ksenofanes" i przekład

z księgi „Kohelet“ są zgodne z określonemi wyżej celami i pojęciami autora. Pierwszy jest to znany filozof grecki, poświęcający całe życie głoszeniu prawdy, ale przez ludzi nie zrozumiany i nie oceniony. Ma to być oczywiście obraz poety samego, który mimo ogarniającego go niekiedy zniechęcenia, wierzy w zwycięstwo prawdy i idei, walcząc z nowoczesnymi pesymistami.

Wspomniany wyżej przekład ustępu z Salomona dowodzi, że i zwątpienia nie mijają poety; w ogóle jednak wybija się on nad współczesnych silną wiarą w odrodzenie, chwile zaś upadku na duchu nie wysuwają się na plan pierwszy. Nawet w poezyach pessymistycznych znać siłę i zdrowie, niema nigdzie dekadentyzmu myśli i formy.

Ta ostatnia, z małymi bardzo wyjątkami, poprawna, niema nagłych wzlotów i upadków, ale wszędzie utrzymuje się na dość wysokim poziomie: jest już zatem wyrobiona i poecie posłuszna; nie odznaczając się jakąś niezwykłą oryginalnością, włada on jednak dobrze sonetem, oktawą, wytworzonemi przez siebie „kaskadami“. Dodatnie wrażenie sprawia też jasność, swoboda, energia wysłowienia; przejrzystość kompozycyi w utworach większych, powinna skłonić p. Żuławskiego do utworzenia poematów w szerszych rozmiarach.

Pod względem języka poetyckiego, zasobu słów, wyrażeń i zwrotów, jakoteż nienadużywania zbyt licznych porównań i przenośni, przypominają nam się zdrowe formy Mickiewicza. Wpływ swój wywarł tu też Słowacki.

Natomiast co do czystości i poprawności języka zarzuciłby można niejedno. Jakkolwiek z przyjemnością stwierdzić należy postęp od pierwszego zbiorku, to przecież form wadliwych, niegramatycznych, spotyka się jeszcze wiele, że wymienię tylko: przyślej, przyśli, z ócz, smętarz, więcej blady, ja wołał, ja zapomniał, Mała Azya (zamiast Azya Mniejsza). Także nie wszystkie, nieliczne zresztą, nowotwory poetyckie, zgodne są z duchem języka, rażąc niekiedy dziwactwem.

Ogólne wrażenie dodatnie każe dobrze wróżyć o przyszłości poetyckiej autora, któremu należy się bez żadnych zastrzeżeń zachęta do dalszych występów. Najlepszy to zbiorek ze wszystkich, które pojawiły się w ostatnich miesiącach (wyjąwszy oczywiście Konopnicką).

K. Nitsch.

Henryk Sienkiewicz. *Na jasnym brzegu*, nowela. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1897, str. 163.

Dobry nasz znajomy z „Rodziny Połanieckich“, malarz Świrski, poznał na Riwierze panią Elzenową, dwudziestopięcioletnią wdówkę, matkę Romulusa i Remusa. Nie cieszyła się ona wprawdzie w Warszawie dobrą opinią, ale była bogatą, piękną, trzymała dom otwarty, więc „towarzystwo“ przebaczało jej to, czegoby nie przebaczono kobiecie biednej. Świrski wiedział o tej opinii, wiedział nawet, że „coś przyszło przedwcześnie“, a jednak zapóźno po śmierci męża, ale nadeszła chwila, kiedy o tem wszystkiem zapomniał, a przynajmniej w to nie wierzył. Trudno temu się dziwić. Świrski był czuły na wdzięki kobiece, a choć miał lat 48, „herkulesowa jego postać mogła młodość zastąpić“. Pani Elzenowa była tego samego zdania, a że Świrski był bogaty, sławny, a w herbie jego mitra niespożytym blaskiem jaśniała, więc odepchnęła roje wielbicieli, którzy nie mieli „uczciwych zamiarów“, a wysiliła swą kokieteryę. aby złapać w sidła człowieka, przez związek z którym odzyskałaby cześć i stanowisko. Umiała trafić w jego słabe strony, przedstawić się dobrą, znudzoną „towarzystwem“, wzdychającą za „cichym kącikiem“. Równie umiejętnie przemawiała do jego zmysłów. Kiedy „oparła się ramieniem o ramię Świrskiego, z twarzą kobiety upojonej“, Świrskiemu „dreszcz rozkoszy przebiegł od stóp i głów“. Na wyniosłościach dostawała bicia serca i dawała mu puls do zobaczenia; on „przykładał ucho do guzików rękawiczki, na chwilę przyciskał ją silnie do twarzy i muskał nieznacznie ustami“. Zachwycała Świrskiego nietylko twarzą drobną i głową małą: „obfite jej ramiona miały, w tych zwłaszcza miejscach, gdzie ciało wychylało się z sukni, ton i przezroczystość muszli perłowej, ręce natomiast od ramion do łokci były lekko czerwone — ale potęgowało to tylko wrażenie ich nagości“. I innym także „oczy wyłaziły z głowy do ramion pani Elzenowej“, a kiedy założyła „nóżkę na nóżkę“, a „suknia jej przy skrzyżowaniu nóg podnosiła się zbyt wysoko“, co, jak tłomaczy profanom Sienkiewicz, wynikało z tego, że „była stosunkowo nizkiego wzrostu i nieco szeroka w biodrach“ — to młody Kładzki „upuścił zaraz zapałkę i począł szukać jej na ziemi“. Zdarzyła się wreszcie chwila w której „ona“ sparła głowę na „jego“ (to jest tym razem Świrskiego) ramieniu, przymknęła oczy, powieki jej zrosiły się, — Świrski wzruszony był widokiem jej łez i „ufnością, jaką mu okazała“, a więc otoczył ją ramieniem, szepnął „bądź moją!“ — ona przygarnęła się do niego, on ucałował naprzód jej czoło, „potem zaczął wycałowywać łzy z oczu“, następnie „chwycił ją w swoje ramiona atlety, przycisnął z całych sił do piersi“, dalej był „taki jak inni“, to jest już „trzymał ją w objęciach przechyloną w tył“, gdy wtem... zapukał do drzwi Kresowicz. Djabli go przynieśli!

Kto był Kresowicz? Nauczyciel synów Elzenowej, skrajny radykał, z początkiem choroby piersiowej, i wreszcie jeden z tych, co się nie mogli oprzeć urokowi pierwszej (bo będzie jeszcze druga) bohaterki noweli. Skłamał przyczynę przerwania tak słodkiego sam na sam zakochanej pary. Wiodła go poprostu zazdrość. „Niech mnie pani wypędzi, bo oszaleję“ zawołał po wyjściu Świrskiego, a Świrski tymczasem jadąc do

Nizzy „podnosił ustawicznie do twarzy ręce, które pachły heliotropem... krew biła mu do głowy, gdy nozdrzami wciągał zapach ulubionej perfumy pani Elzen“. Nazajutrz jednak obudził się z niepokojem. Czuł, że się związał niepotrzebnie. Klął „ptasie czaszki i głowy“ Romulusa i Remusa, pośpieszył jednak do Monte Carlo zaproszony na śniadanie przez Elzenową. Przy jej boku zapomniał o swych rannych niepokojach, a kiedy ją odprowadził do hotelu, „zrobił dwie trzecie drogi do raju, a następnie wyjechał z dreszczem rozkoszy w kościach, ale zarazem z przekonaniem, że wrota otworzy mu dopiero małżeństwo“.

Tymczasem Kresowicz, który mówił Świrskiemu, że na mikroby suchotnicze wynalazł „sposób niezawodny“, przyszedł obrachować się z Elzenową. Oświadcza jej szorstko, że się spodlił pokochawszy ją, bo całej jej sfery powinien nienawidzić, dlatego też sobie sam wymierzy karę, a od niej żąda jeszcze innej zapłaty. Elzenowa nie przestraszyła się, bo „nie bała się mężczyzn“, owszem zaimponował jej ten człowiek groźny i zaciekawiła ją nowość położenia. W razie oporu ten szaleniec gotów na wszystko, a więc udała sztucznie przerażoną, a „kiedy Kresowicz chwycił ją i objął, poczęła się bronić, ale czyniła to tak, jak kobieta mdlejąca, której przestrach odjął przytomność i siłę“. W tem miejscu, w tych dziewięciu dziesiątych „drogi do raju“, Sienkiewicz spuszcza dyskretną zasłonę.

Nazajutrz stał się wiadomym ów „niezawodny sposób na mikroby“ Kresowicza. Poprostu zastrzelił się. Świrski zarobił na jego śmierci, bo wyleczył się z miłości do Elzenowej, która wobec tragicznego zgonu Kresowicza okazała zupełny brak uczuć szlachetnych i wyrafinowane samolubstwo. Możeby jednak Świrski mniej trzeźwo na swą narzeczoną spoglądał, gdyby nie był poznał Maryi Cervi. Z poznaniem tem kończy się dłuższa, zmysłowo erotyczna część noweli, zaczyna się idylla.

Marya Cervi, bez wiadomości matki przybyła pozować Świrskiemu. Była piękną, a „jeśli jest tak zbudowana (myślał Świrski) jak się wydaje, to: eureka!“ Zaraz się zresztą o tem przekona. Każe jej iść za parawan i rozebrać się, bo „będzie pozowała do głowy, do piersi i części brzucha“. Marya idzie za parawan, płacze i nie rozbiera się. Przytem odzywa się po polsku, bo „jej dziaduś jest Polak“; wyszedł z kraju po r. 1831, później służył w wojsku włoskiem. Wydał córkę za młodszego od siebie towarzysza broni, — ten umarł, dziadek nie może pracować, od dwóch lat już nie chodzi. W domu jest wielka bieda, a więc Marya pragnęła dopomódz matce, nie wiedząc, jakie są „obowiązki“ modelki. Świrskiego rozczuliło pełne prostoty opowiadanie dziewczyny; cieszy się, że „trafił na bardzo uczciwą duszę kobiecą“, zwłaszcza, że ta dusza „zamkniętą jest w tak młodem i hożem ciele“. Naturalnie Marya będzie pozowała już tylko do głowy. Świrski poznaje matkę Maryi i „dziadusia“, który wita „rodaka“ pytaniem: „a na wiosnę... co?“ Dalszy ciąg łatwy do przewidzenia. Piękność i uczciwość Maryi czynią coraz większe na Świrskim wrażenie. Czuje, że nie jest obojętnym dla dziewczyny, a kto ma dopiero lat 45 (trzy mu jakoś ubyło na poczekaniu) ten „nie wyszedł jeszcze z obiegu“. Przytem odzywają się potężnie i zmysły. Gdy Marya, pierwszy raz pozując, rozpuściła zawstydzona włosy, Świrski „z rozkoszą patrzył na jej zmieszaną twarz, na spuszczone powieki, na przegiętą w tył postać, na wykwintny rysunek bioder“. Przy „układaniu“ modelki widział, że „jej pierś porusza się szybciej“, że zwalczając instynktowy opór „poddaje się z jakimś niepokojem, podobnym do nieuświadomionej rozkoszy“. Drżały mu palce, gdy układał jej głowę na poduszce, a gdy podczas malowania „biorąc ją lekko za skronie, poprawiał położenie jej głowy, — wówczas pochylał się nad nią niżej, niż tego interesy sztuki wymagały“ i jak przy pani Elzenowej „dreszcz przechodził mu przez kości . Więc gdy odeszła „miał jej pełne oczy i pełną głowę“ i myślał z rozkoszą, że „za godzinę będzie znów dotykał palcami jej skroni, znów pochylał się nad nią i wyczuwał ciepło, bijące od niej“, a na tę myśl „czuł się odurzony jak winem“.

Do końca noweli już tylko kilka kartek. Opuszczona, a nie domyślająca się dlaczego, Elzenowa, nie otrzymawszy na swój list odpowiedzi, telegrafuje, że czeka o czwartej i dodaje: „jeżeli nie przyjedziesz, wiem co mam myśleć i jak postąpić“. Podpis pod telegrafem: „Morphine“; — Świrski zląkł się tego podpisu. Elzenowa gotowa się otruć... Kobieta ta ma odwagę, jest zawziętą i stanowczą, a zraniona miłość własna może kobietę do wszystkiego doprowadzić. Więc nie czeka na pociąg, a jedzie zaraz powozem. Przybywa zawcześnie, bo Elzenowa mając jeszcze sporo czasu do czwartej, pojechała tymczasem... na rowerze z panem de Sinten, jednym z tuzina jej wielbicieli. „Dramat kończy się farsą“, pomyślał śmiejąc się Świrski i nie czekając na Elzenową powrócił do Nizzy, aby powiedzieć Maryi: „oddaj mi siebie i swoich“. Od byłej narzeczonej otrzymał jeszcze jeden telegram, a w nim jedno jedyne słowo: „Podły“.

Można było znacznie krócej streścić nowelę „Na jasnym brzegu“, ale w tem dłuższem streszczeniu znajduje się już poniekąd jej krytyka. Czwartą część jej zaledwie zajmuje lekko naszkicowany obraz zdrowej, choć nie całkiem idealnej miłości, — trzy czwarte wypełnione są zmysłowością, lub dokładniej się wyrażając: lubieżnością. Sienkiewicz jest mistrzem w opisywaniu scen lubieżnych, nic więc dziwnego, że lwią część im przeznaczył. Wszak i w „Quo vadis“ sceny lubieżne, i to licznie rozsiane, kłócą się z podniosłością tematu, a nawet, powiedzmy otwarcie, jako bardziej ponętne i świetniej odmalowane, silniejsze na czytelnikach czynią wrażenie, niż te ustępy powieści, które opowiadają

tryumf nauki Chrystusowej. Wprawdzie jeden z krytyków napisał, że Sienkiewicz dał tych scen tylko tyle ile ich było „koniecznie potrzeba", ale rzecz to zapatrywania; krytyk ten zresztą złożył nieraz dowody, że jeżeli czuje sympatyę do autora, to pisze nie krytykę, nie rozbiór, lecz apoteozę i apologię; w najsłabszych ustępach (a któryż utwór literacki słabych ustępów nie posiada?) dopatruje się niezwykłych piękności, odkrywa kopalnie głębokich poglądów. Więc też mu wierzyć nie „koniecznie potrzeba", a zwłaszcza jeżeli mówi, że Sienkiewicz w powieściach współczesnych, jeżeli opisuje stosunki rozpustne, to pokazuje ich „tylko tyle ile musi i zaraz się od nich odwraca". Otóż pytanie, czy n. p. choćby w noweli „Na jasnym brzegu" musiał Sienkiewicz opisać scenę Kresowicza z Elzenową i czy się od niej „odwrócił?" No tak, „odwrócił się", bo już dalszych szczegółów tej sceny, zwykłej funkcyi fizyologicznej, opisywać nie mógł. Ale poco ta scena? Czy dla okazania, że Elzenowa „mężczyzn się nie bała" — a toż Sienkiewicz tyle razy o tem zapewnia, takie daje na to jasne i niezbite dowody, że doprawdy bez tego ostatniego dowodu mogło się już obejść.. A może szło o pokazanie do czego jest zdolny fanatyk socyalista? Ależ tego rodzaju zdolności znajdują się wśród ludzi wszelkich zasad, nawet skrajnie konserwatywnych. Czy może Sienkiewicz musiał tę wstrętną scenę wprowadzić dla rozwinięcia akcyi lub intrygi? I to nie — Kresowicz byłby sobie i tak życie odebrał, poszedłby i tak do Hadesu tą samą drogą, bez zbaczania na ścieżynę „raju" ziemskiego.

Trudno autrowi przepisywać, jak ma pisać, trudniej jeszcze dawać przepisy takiemu majstrowi jak Sienkiewicz. Wolno mu pisać, jak chce, to prawda — ale wolno wypowiedzieć swoje zdanie i sprawozdawcy. A zdanie to krótkie: u Sienkiewicza motyw lubieżności zbyt góruje, a wszystkiego co za dużo, to i niezdrowo. Wolno też sprawozdawcy zauważyć, że „Na jasnym brzegu" to jedna z najsłabszych noweli Sienkiewicza. Tyle razy już opisywano wabiące syreny, tyle razy już bohaterowie wyrywali się z ich objęć, aby... wpaść w objęcia „młodości i niewinności". Na świecie dzieje się najczęściej przeciwnie. Ale tak czy owak, temat to oklepany, a w przeprowadzeniu również trudno dopatrzeć się czegoś nowego. Na pociechę grzecznych dzieci „cnota" tryumfuje, ale i niecnocie Elzenowej nieźle będzie dalej na tym padole płaczu, bo pocieszą ją różni Sintenowie, Kładzcy, Wiadrowscy, Porzeccy, którym w stosunku do Elzenowej „chodziło o to samo" o „zwierzęcy pościg samców za samicą".

Ale choć treść noweli jest dość błahą, a często, niesmaczną (rzecz to zresztą gustu), musi ona, jak każdy utwór Sienkiewiczowski, mieć i niepospolite zalety. Szkoda zabierać miejsce na dowodzenie, że pod względem stylowym i narracyjnym żadnego zarzutu uczynić jej nie można. Są to dwie potęgi Sienkiewiczowskie, z któremi rywalizacya wydaje się niepodobna; zapewnią mu one zawsze zwycięstwo. I styl i sposób opowiadania Sienkiewicza wprost upajają, czarują, pomimo, że wieje z nich niezwykła prostota, ale właśnie zdobycie takiej prostoty, jasności, bez popadnięcia w banalność stylu i trywialność formy narracyjnej, to dojście do szczytu sztuki pisarskiej.

Tak Elzenowa jak i Świrski, jako charaktery i typy, są wybornie uchwyceni, psychologicznie zrozumiali i dobrze przeprowadzeni. Otaczająca ich galerya, choć lekko zaznaczona, przedstawia wielką rozmaitość i typowość. Są to same pyszne sylwetki: kilka wierszy wystarczy Sienkiewiczowi, aby scharakteryzować danego człowieka, opisać plastycznie jego postać i wykazać jego wartość wewnętrzną. Jak żywi stoją przed nami Sinten i jakiś hrabia węgierski „obaj ubrani w rude angielskie kostyumy, w takież czapki zsunięte od przodu na daszki i w kraciaste pończochy, obaj ogromnie dystyngowani, obaj z twarzami durniów". A któż nie spotkał takiego księcia Porzeckiego, „ze spiczastą twarzą Azteka", który jeździ do M. Carlo, aby „służyć krajowi", i w tym celu na bilecie wizytowym opisuje przyjacielowi Chamberlaina stan ekonomiczny i polityczny kraju, bo ten bilet dojdzie jeżeli nie do rąk Chamberlaina, to Salisburego, „co będzie jeszcze lepiej". Niezadowolony ze wszystkiego i stąd przekładający nad Riwierę swoje Wieprzkowiska radzca Kładzki, złośliwy, bogaty nafciarz i artysta dyletant, a przytem wielce złośliwy Wiadrowski, — to także sylwetki wycięte zgrabnie z życia na Riwierze.

A jaka pyszna charakterystyka „towarzystwa" Riwiery, jaki pełen prawdy obrazek natłoczonego a pomykającego do Monte Carlo pociągu, jaki piękny opis przejażdżki Świrskiego po morzu wśród ciszy nocy południowej! Nie braknie i bardzo głębokich i artystycznych uwag o literaturze i sztuce. Gorzkie słowa prawdy o naszych artystach, wypowiedziane przez Świrskiego, wartoby im wszystkiem dać do przeczytania. Ten sam Świrski mówi o dekadentach, że „są to ludzie, którzy wolą od sztuki samej rozmaite sosy, z któremi sztuka bywa przyprawiana". Kilka słów, a ile w nich prawdy, ile artystycznego odczucia.

Sienkiewicz jest przedewszystkiem wielkim estetą, a więc i z noweli „Na jasnym brzegu", mimo błahości tematu, czytelnik wynosi sporo wrażeń artystycznych.

K. Bartoszewicz.

Junosza Klemens. *Suma na Kocimbrodzie.* Powieść. Warszawa, 1898 (!).

W powiatowem miasteczku, w biurze p. Dyonizego Szperalskiego, adwokata, pracował dependent Korkiewicz, znany sknera, który sobie wszystkiego odmawiał dla zebrania grosza, albo jak on mawiał, „dla cnoty". Pewnego dnia zaintrygował go mecenas pytaniem o Kocimbrodzie, majątku czy folwarku, o który

go z Warszawy pytano. Obecny w kancelaryi p. Malwiński jakieś niewyraźne wspomnienia łączył również z tą nazwą, i tyle tylko mógł dokładnie powiedzieć, że jego dalecy krewni Zawolscy mieli sumę na Kocimbrodzie i ciągle o niej mówili, spodziewając się poprawić swój byt, skoro ją odbiorą. Ta „suma“ i ten „Kocibród“ zaintrygowały bardzo p. Korkiewicza, przedstawiało się mu pole do zarobku, więc gdzie mógł sięgał po bliższe informacye, szczególniej zaś do żydów, bo czegoż to oni nie wiedzą. Przez nich poznał pannę Emilię, udzielającą lekcyj muzyki w miasteczku, a ponieważ ona była w tej sprawie interesowana, przez nią starał się dociec do źródła. Poznawszy ją jednak i jej uprzejmość, począł marzyć o rodzinnem gnieździe, zaczął się lepiej ubierać, a nawet wybrał się do Warszawy. Tymczasem p. Emilia zwróciła się do pp. Piotrowiczów w Łopiankowie, swych krewnych, pragnąc od nich bliższych zasięgnąć wiadomości o Kocimbrodzie i wśród różnych czułości przyobiecała po swej śmierci zapisać wszystko ich córce Sławci, zakochanej w sąsiedzie Konradzie i niebawem jego narzeczonej. Dziwny traf zrządził, że tego samego dnia, kiedy p. Sławcia pisała list do cioci Emilii z zaproszeniem na ślub, nadeszła od tejże cioci wiadomość, że — tego samego dnia odbędzie się jej ślub z p. Korkiewiczem. W miłej nadziei sukcesyi i odzyskania sumy na Kocimbrodzie połączyły się dwie kochające się pary; dopiero podczas pobytu pp. Korkiewiczów u pp. Konradostwa, wyjaśnił wuj Andrzej sprawę, opowiadając, że Kocibród sprzedany dawno na subhastacyi, a ów inny o którym zasięgnął wiadomości Szperalski, należał do rodziny Zaw*a*lskich nie Zaw*o*lskich. Fakt ten nie zmienił szczęścia pp. Konradostwa, a zaciężył nad Szperalskim, który się z interesu o Kocibród stał pantoflem p. Emilii.

Powieść ta pisana żywo, czyta się nie bez interesu. Typów nowych tu nie ma, są tylko, jak zwykle u Junoszy, pyszne sceny żydowskie.

Roman Zawiliński.

Ariel St. *Irma.* Nowella. Warszawa, 1897.

Znali się od dzieciństwa i kochali — ale po swojemu. Natury wrażliwe, ambitne i dumne, nie zdające sobie same nieraz sprawy z chęci i czynów, popadały w sprzeczności, grzęzły w niekonsekwencyach i pragnąc wzajemnie szczęścia, wzajem się unieszczęśliwiły. Edward wyjechał na studya za granicę, byle jak najrychlej ukończyć nauki i z dyplomem stanąć przed ukochaną; Irma tymczasem dorastała, konkurenci się pojawiali, aż — pewnego dnia otrzymał Edward wiadomość od swej matki, że Irma wychodzi za mąż, robiąc świetną partyę. Edward odważył się na krok stanowczy; napisał do Irmy list długi, wyznając swe uczucie. Irma nie kochając swego narzeczonego, a dając mu słowo tylko na życzenie ojca, doznała gwałtownego wstrząśnienia po odczytaniu listu Edwarda. Uczucie, które do niej przemawiało z namiętnych Edwarda wyrazów, czyniło ją zarazem szczęśliwą i nieszczęśliwą. Ojciec starał się jej wybić z głowy skrupuły, i wprost „dzieciństwem“ nazwał postępowanie Edwarda; i rozkazał jej napisać odpowiedź odmowną, a kiedy Edward osobiście się zjawił, musiała „nie“ odpowiedzieć. Ten fakt złamał jej życie i Edwarda przekształcił. Ona zwróciła słowo narzeczonemu, oddała się stosunkom towarzyskim, myśląc o Edwardzie, którego pragnęła spotkać i zerwaną nić nawiązać. Dowiedziawszy się o miejscu pobytu Edwarda, napisała do niego i odtąd zawiązała się między nimi poufna wymiana myśli. Korespondencyę odkryto, a tak ojciec Irmy, jak matka Edwarda położyli stanowcze „veto“. Usiłował jeszcze Edward listem wydobyć z Irmy przyrzeczenie, że w walce wytrwa, ale jej rozstrojone nerwy nie pozwoliły się zdobyć na jasną odpowiedź, która go moralnie zgruchotała, zaczem w odpowiedzi Edwarda obojętnej i mówiącej o ożenieniu się po myśli matki, znalazła powód do zupełnego zwątpienia. Po jakimś czasie Edward zaręczył się z bardzo bogatą panną, a przed ślubem na żądanie listy jej zwrócił bez słowa pożegnania. Po latach kilku spotkali się w Warszawie, ale im większe ogarniało Irmę pragnienie zbliżenia się do Edwarda, tem większego doznawała rozczarowania; coś strasznego dzieliło ich i oddalało, równocześnie wiążąc ze sobą. Edward przyjeżdżał potem dosyć często do miasteczka, gdzie Irma z ojcem mieszkała, widywał Irmę, zajmował się nawet sprawami majątkowemi jej ojca. Nakoniec po wzajemnej walce i nieporozumieniach, kiedy się zdawało, że on ją zrozumiał, a ona pojęła zmianę jego usposobienia, kiedy z jej ust omal, że nie wymknęło się wyznanie, on z ironią prawie odepchnął ją od siebie, sądząc, że jest tylko igraszką w jej rękach, i bez pożegnania odjechał. Nazajutrz Irma nagle umarła.

Jak z przedstawienia treści widać, jest to nowella (jak ją chce autor nazywać) na wskroś psychologiczna. Chodziło o przedstawienie kobiety nie zimnej, ale zbyt rozumującej, ulegającej porywom nerwów a nie uczucia, niekonsekwentnej a nie umiejącej zrozumieć następstw w sercu ukochanego po doznanych zawodach. Charakterem takim jest Irma, a analiza jej duszy świadczy dobrze o talencie autora. Zarzuciłby mu można rozwlekłość akcyi w ramach nowelli, a szczupłość jej, jeźli to miała być powieść; wiele rozumowania zwłaszcza u Irmy, a niejasny proces w duszy Edwarda już żonatego, ale w całości rzecz to wcale udatna, którą się czyta z zajęciem, chociaż pod wrażeniem przykrem.

Roman Zawiliński.

Adolf Černy. *Za Edvardem Jelinkem.* Praga, 1897.

„Edw. Jelinek — pisze p. Adolf Czerny — tak zrósł się u nas z Polską, że niepodobna wyobrazić spojenia bardziej ścisłego i nierozerwalnego“. Znaliśmy wszyscy Jelinka, jako gorącego przyjaciela narodu naszego i ceniliśmy go za to, ale dopiero dziś, z broszury p. Czernego, z przytoczonych przez niego poufnych zwierzeń Jelinka w pamiętnikach i w listach, dowiadujemy się, jak całkowicie go pochłaniała myśl o Polsce, do jakiego stopnia stanowiła ona treść jego życia. Przed 10 laty wystąpiły po raz pierwszy na zewnątrz objawy choroby piersiowej, która przedwcześnie zacnego pisarza zaprowadziła do grobu, i od tego czasu na pogorszenie niemocy fizycznej wpływały stale wszelkie niesnaski w stosunkach czesko-polskich. W r. 1889 skarżył się Jelinek dużo na cierpienia swoje fizyczne i moralne. „Stosunki czesko-polskie — pisał w pamiętniku — weszły w fazę bezwzględnej nieprzyjaźni. Codziennie coś się psuło i mąciło. Złe nastały czasy dla mego polskiego ideału. Chciałem ratować, co mogłem, wydawałem broszury w Pradze i w Krakowie, ale wszystko prowadziło tylko do rozdwojenia. Były to najnieszczęśliwsze dni mego życia, patrzałem jak plon pracy mojej niszczyły nielitościwe losy“. „Stosunki nasze — pisał on w tymże czasie w liście prywatnym — stają się z dniem każdym przykrzejsze i nieprzyjaźniejsze. Bezbożność i dzikość przenika całe życie i zdaje się jakgdyby każdy miał na myśli tylko swoje miłe ja. Święty Wacławie módl się za nami — szepcę teraz często wśród nieładu, który nas ogarnia“. Rok wystawy jubileuszowej podniósł go na duchu, 5000 Polaków zwiedziło wystawę, cieszył się z tego niezmiernie, uważając to za własny tryumf. Ale wkrótce potem znowu zaostrzyły się wzajemne niechęci polityczne Czechów i Polaków, a szlachetny Jelinek począł znowu upadać na ciele i duchu. „Bóg sam wie — pisał wtedy — dokąd doprowadzi takie stałe rozsiewanie wzajemnej nieufności. Sprawa polska traci w Czechach — wśród ludzi niezdolnych do wydania sądu — coraz bardziej grunt pod nogami. Przygnębia mię to niezmiernie, tem bardziej, że na usprawiedliwienie tej niezgody nie dałoby się nic przytoczyć. Boże napraw to!“ Prawdziwym zaś tragizmem dźwięczą słowa z listu pisanego w r. 1894, kiedy choroba jego przybrała była zastraszające rozmiary: „Przypisuję to (tj. chorobę) głównie ogromowi smutków, przykrości, których tyle w tych ostatnich czasach doznałem. Nasze stosunki czesko polskie zatruwały każdy dzień mego życia. Bóg jeden wie, przez co przeszedłem!“

Patryotą był Jelinek, ale w najlepszem znaczeniu wyrazu, bo miłość ojczyzny nierozerwalnie w nim się łączyła z miłością dobra i piękna. W epoce ogólnego w Europie rozpasania namiętności, narodowych był on apostołem tego patryotyzmu, który we własnym narodzie chcąc widzieć jedno z narzędzi do urzeczywistnienia ideału sprawiedliwości i szczęścia powszechnego, szuka w innych narodach nie tego, co z niemi kłóci, ale tego co jednoczy, bo wie, że w każdym znajdzie jakieś natchnienia dobre, które ku własnemu pożytkowi na swój własny grunt przeszczepić zdoła. W duszy Jelinka zebrały się i zapłonęły ogniem pięknym najlepsze pierwiastki tych uczuć i myśli, które ożywiały i zapalały najznakomitszych mężów czeskich, przewodników odrodzenia narodowego w pierwszej połowie wieku bieżącego: jak oni, kochał on obok Czech Słowiańszczyznę całą, ale miłość jego jaśniała pełnym blaskiem ideału, wolna od tych naleciałości utylitaryzmu politycznego, który cechował jego poprzedników. Kochał Jelinek w świecie słowiańskim tych najwięcej, którzy najwięcej ucierpiawszy, umieli myślom i dążeniom swoim nadać majestat wielkiego a oczyszczającego duszę cierpienia. — My byliśmy mu najdrożsi.

Ale źródeł tego pociągu i przywiązania do nas, należy szukać nietylko w szlachetnem, wszelkiej niedoli współczującem sercu Jelinka. Polska odpowiadała także jego wykwintnej, arystokratycznej naturze. Syn na wskróś demokratycznego społeczeństwa, czuł on brak w życiu towarzyskiem czeskiem tego poloru zewnętrznego, który posiada Polska. „Przeczytajcie — powiada p. Czerny — jego *Damy dawniejszych salonów polskich*, jego artykuł *Warszawa i jej społeczność*, ustęp z pracy p. t. *Rysy słowiańskie*, poświęcony dziejom stosunków towarzyskich w Polsce i t. d. Co się wszędzie odzywa? Salon, salon i salon. Tak, salon czeski wzorujący się według polskiego, był snem Jelinka. Dla tego to tyle pracy poświęcał studyom nad życiem towarzyskiem w innych krajach słowiańskich, ale szczególniej w Polsce, dlatego kreślił nam postacie znakomitych pań polskich“. Wszakże jeśli w Polsce spotykamy wykwintne panie, stanowiące ozdobę salonów i nieraz duszę towarzystwa, to w Czechach są za to kucharki żywo zajęte życiem narodu i śledzące jego ruch umysłowy. Szczęśliwsze więc są Czechy, ale Jelinkowi to nie wystarczało, chciał do ojczyzny swej przenieść wdzięk polskich salonów, a jako pośrednik między Polską a Czechami opowiadał nam o ogromnem rozpowszechnieniu świadomości narodowej i potędze uczuć patryotycznych nawet wśród najniższych warstw czeskich, Czechom zaś — o dodatnich stronach życia towarzyskiego w Polsce.

Trafnie podzielił p. Czerny prace Jelinka na cztery główne kategorye. Przedewszystkiem stworzył Jelinek swój własny rodzaj, w którym znalazł naśladowców, polegający na skojarzeniu pamiętnika z powieścią. Chcąc jak najwięcej pozyskać czytelników, podawał on wspomnienia swoje i spostrzeżenia z wędrówek po Polsce i innych ziemiach słowiańskich w popularnej formie noweli, ale robił to tak, jak gdyby sam był

świadkiem i uczestnikiem wszystkich opisywanych wypadków. Do tego rodzaju należą *Crty (rysy) kozacké*, *Crty litevské*, *Ukrajinske dumy*, *Crty Varšavské*, *Jasem i stínem* (światła i cienie), *Nahodilosti* i t. d. Następnie pisywał on pogadanki historyczne i społeczno-obyczajowe, te ostatnie na własnych wspomnieniach oparte: *Polske pani a dívky*, *Damy starších salonu polskych*, *Slovanské návštěvy*, (odwiedziny, interviewy) i inne. W ostatnich latach wziął się do ściślejszych historyczno-etnograficznych badań rozmaitych ziem polskich i z tego zakresu wydał dwie prace: *Zapomenuty kout slovansky* (o Koszubach) i *Pohledy do Litvy*. Wreszcie w miarę potrzeby występował on z broszurami i artykułami treści politycznej o stosunkach czesko-polsko-rosyjskich: *Pro shodu cesko-polskou*, *Veci (rzeczy) polské*, *Idea słowiańska w Czechach* (Przegl. Pol. 1881), i wiele innych.

Wynika z tego, że z usposobienia był Jelinek publicystą, wydawał też w ciągu lat kilku pismo *Slovansky Sbornik* (1881—1887); pod hasłem poznajmy się, dążył też w niem do bezstronności, i nieoglądając się na namiętności polityczne, stawał zawsze śmiało po stronie słabszych i uciskanych. Wskutek tego naraził nieraz popularność swoją, ostatecznie też musiał zamknąć pismo dla braku poparcia i z powodu słabego zdrowia, zasilał zato stale do śmierci artykułami i korespondencyami rozmaite pisma polskie. Wreszcie w ciągu całego życia zbierał materyały do dzieła większych rozmiarów o upadku i odrodzeniu Polski.

Talent Jelinka był średniej miary; nie stworzył dzieł, któreby mu trwałą sławę zapewnić mogły. Przyczyniło się do tego i to, że pomimo niepospolitej, wyjątkowej niemal szlachetności i wzniosłości myśli, widnokrąg tych myśli był ciasny. Idea wzajemności słowiańskiej, szczególnie zaś czesko-polskiej tak całkowicie ogarnęła Jelinka, że poza tem nie obchodziło go nic. Słowem jako charakter, jako serce, pociąga on nierównie więcej, niż jako umysł i talent; bardzo słuszne są słowa p. Czernego, że „osoba Jelinka jest jednym z najsympatyczniejszych objawów idealizmu ludzkiego“.

Zdaniem niektórych wybitnych współczesnych myślicieli czeskich tym ideałem narodowym, któremu Czesi stale w ciągu dziejów usiłowali nadać wyraz jest „humanita“, humanitaryzm, to, co Niemcy zwą *die reine Menschlichkeit*, czyli dążność do wszechstronnego i harmonijnego rozwinięcia wszystkich zasobów ducha ludzkiego, dążność oparta na zasadzie szanowania indywidualności każdej jednostki, każdej warstwy, każdego narodu. Jednym z najzacniejszych przedstawicieli takiego humanitaryzmu był właśnie Jelinek. Ukochał on świat słowiański, marzył o zgodzie Słowian, o wspólnych ich zdobyczach na nieskończonem polu pracy ducha i dla tego najgorętszem zapłonął współczuciem dla tych z pomiędzy pobratymców, których surowy los pozbawił możliwości swobodnej pracy i rozwoju, — narażając się nieraz na przykrości występował zawsze jako obrońca słabych, a przedewszystkiem jako wymowny i zapalony trybun naszego narodu. Ceniliśmy go, ale za mało, nie umieliśmy zmierzyć całej głębokości i zacności jego uczucia. Nie posiadamy dotąd obszerniejszej pracy osobie jego poświęconej, wobec tego należałoby przetłomaczyć sympatyczną, bo pełną ciepła serdecznego broszurę p. Czernego, w której ten blizki przyjaciel i powiernik zmarłego dał obok własnych o nim wspomnień, zwięzłą i trafną ocenę całej jego działalności literackiej.

M. Zdziechowski.

Przegląd Przeglądów.

I. O metodzie badań historyi literatury.

W lipcowym zeszycie „Przeglądu Powszechnego“ ukończył p. Antoni Mazanowski obszerną pragę: „Przegląd najnowszych badań z historyi literatury polskiej“. Rzecz to sumienna, obejmująca prawie wszystko, co na polu tych badań zrobiono u nas w ostatnich trzech latach. Zapewne, że tu i owdzie nie zgodzilibyśmy się na sąd lub zapatrywanie szan. autora, ale całości pracy tej oddajemy zasłużone uznanie. Ostatni artykuł poświęcony jest studyom nad w. XIX., poczem idzie zakończenie, w którem autor zastanawia się nad „najnowszą“ metodą pisania rozpraw i dzieł z dziedziny historyi literatury. Uwagi jego są tak słuszne, tak trafne, tyle w nich protestu przeciw marnowaniu papieru, nadużywaniu utworów danego autora (głównie poetów) do wytłomaczenia stanu jego duszy i objaśnienia szczegółów biograficznych, oraz odwrotnie nadużywaniu tych szczegółów do wyjaśnienia utworów, tyle wreszcie złotych słów o doprowadzaniu *ad absurdum* t. zw. metody porównawczej — że nie możemy się oprzeć, aby nie przytoczyć ustępów, o których mowa, i nie przyklasnąć szczerze bystrości i trzeźwości poglądów p. Mazanowskiego:

„Powiedział nasz stary biskup Naruszewicz w „Memoryale względem pisania historyi narodowej“, że „dla piszącego historyę czworaka zostaje praca: zebranie rzeczy pilne i oszczędne, rozłożenie łatwe i porządne, krytyka mądra, ozdobienie gładkością pióra powabne a ochotę czytania utrzymujące“. Zasady te można zastosować i do historyka literatury. Pomijając warunek pierwszy — trzy następne odnoszą się ściśle do metody. Jeżeli rzucę okiem na długi szereg rozpraw, które przeglądnąłem, a zechcę położyć na nich miernik ks. biskupa — któremu, nawiasem mówiąc, zupełną przyznaję słuszność — to zdobywam przekonanie, że na

sto rozpraw zaledwie kilka posiada zalety prac metodycznych. Był u nas czas, kiedy, za wzór biorąc ścisłość niemiecką, opatrywaliśmy rozprawy długimi rzędami adnotacyj uwag i odsyłaczy; dziś w znacznej części metoda ta należy do przeszłości — i słusznie. Natomiast weszło w zwyczaj powszechny na pierwszych kartach pracy rozprawiać się *per latum et longum* z poprzednikami, którzy o tym samym przedmiocie pisali. Tem się dzieje, że np. w dziele zatytułowanem „Klemens Janicki“, mówi się na wielu stronach o Windakiewiczu, Brücknerze, Masłowskim i Węclewskim, że w pracy p. t.: „Życie i dzieła Zimorowiczów“, brnąć się musi przez 17 dużych kart o Odyńcu, Felicyanie Surynie, Łozińskim, Słowackim Euz., Brodzińskim itd., a właściwy życiorys zaczyna się dopiero na stronicy 62, że w książce o poezyach Morsztyna nieszczęśliwy czytelnik *volens nolens* musi się dowiedzieć, jak to licho i wadliwie pisano dotąd o nich, a dopiero autor niniejszego studyum wywiódł prawdę na światło dzienne. A jednak jest to wyrazem nieufności ku czytelnikowi, jeśli się uważa za potrzebne pouczać go, co i jak pisali poprzednicy o pewnej kwestyi; nadto należy to ściśle do pracy zakulisowej, przedwstępnej, potrzebnej dla informacyi samego badacza, nie zaś czytelnika, który zwykle bierze w rękę książkę pana X. o poecie Y, aby się dowiedzieć, co o tym poecie sądzi p. X., nie zaś, co sądził p. Z. W takich dziełach zresztą bywa podwójna dyskusya z poprzednikami: jedna w obszernym wstępie — *quasi* generalna, druga w uwagach szczegółowa. I to mąci przejrzystość układu. Drugą metodyczną wadą, poczynającą grasować w naszych badaniach, jest brak roztropnego, spokojnego i przedmiotowego krytycyzmu. Odnosi się to zwłaszcza do badań porównawczych, dotyczących autorów XIX. w. Są tej wady różne odcienie. Raz krytyk szpera mozolnie, aby u innych poetów odkryć cień, ślad jakiś, cień cienia podobieństwa, jakąś figurę poetyczną podobną, jakąś końcówkę, jakiś wyraz — i zarzuca badanemu poecie czasem wprost, czasem milcząco, czasem z pobłażaniem, czasem urągliwie brak oryginalności, nawet kradzież literacką i rabusiostwo; innym razem krytyk grzebie w poematach, bierze je za rzeczywistość, podstawia pod osoby poematów osoby z życia, snuje domysły, odgaduje myśli i najdrobniejsze tajemnicze pobudki, odtwarza z fotograficzną wiernością, z niewzruszoną pewnością bieg rozumowań i myśli poetów z przed lat kilkudziesięciu — i pisze nowele. I jedna i druga metoda jest w stanie poważnie zagmatwać jasność badań naukowych. Druga jest oczywiście niebezpieczniejszą od pierwszej. Tamta znudzi czytelnika, zmitręży, nie przyczyniając się do wyjaśnienia twórczości poetyckiej, ta ostatnia omami i na błędne tory wiedzie, wprowadza do badań lekkomyślność, piętrzy fatalnie wieżę Babel z domysłów wyobraźni — i godna stanowczo skarcenia. Obaczmy przykłady. Słowacki wspomina w listach do matki o George Sand; najmniej podobała mu się Lelia, ale to mniejsza. Ona to właśnie — prawem kontrastu — wywarła wpływ na poemat w Szwajcaryi. Podobieństwa? W Lelii romans szwajcarski — i u Słowackiego toż samo; w Lelii kaskada — u Słowackiego także; w Lelii wycieczka w góry — u Słowackiego również; w Lelii szalet — u Słowackiego podobnie; w Lelii krajobrazy górskie — u Słowackiego także. I tyle. Na to wszystko można odpowiedzieć, że i romans, i krajobrazy górskie, i kaskada, i szalet, i wycieczka nie potrzebowały być brane z Lelii, skoro były w życiu poety, a jeśli tylko takie mamy dowody na wpływ Lelii, to lepiej o nim nie mówić.

„Albo wpływ Romea i Julii na tenże utwór.

„Są trzy podobieństwa: Julia Szekspira i kochanka Słowackiego pierwsze proponują ślub; 2) obie chcą się poń udać do celi staruszki; 3) obaj młodzieńcy kochają od razu, od pierwszego wejrzenia. Po to Słowacki musiał aż do Szekspira się udawać. Był to widocznie wielki niezdara, skoro np., aby napisać: „Nie wylatuje za nią do a n i o ł ó w“ lub „Czemu nie leci za n i e b i e s k i e szranki“, sięgał do Trenów Kochanowskiego, gdyż tam napisano: „Czyś ty nad wszytki n i e b a wysoko wzniesiona? I tam w liczbę a n i o ł k ó w małych policzona?“ Możnaby się wprawdzie spierać o to, bo co „nieba“ to nie „niebieskie“, a co „aniołów“, to nie „aniołków“; nawet liczba liter odmienna, ale puśćmy w niepamięć te lapalia. I jeszcze jeden przykład z tysiąca. Tym razem wpływ Metamorfoz Owidyusza na „Ojca zadżumionych“. Czytał Słowacki Metamorfozy? Naturalnie — w szkołach. Ale to dawno bardzo. No — mógł już w uniwersytecie czytać. Wszak wiemy, że lubił Homera, mógł zatem znajdować upodobanie w Owidyuszu. „Kto wie nawet, czy go nie czytał także (może w jakiem tłomaczeniu francuskiem?) podczas swojej podróży po Wschodzie, np. w Bayrucie“. Ale na pewno czytał, gdyż... gdyż po dwakroć w tym czasie użył wyrazu „metamorfoza“; raz: „panna Malagamba przez pewną metamorfozę stała się panią doktorową“, drugi raz: „teraz już zapóźno na wszelkie metamorfozy“. Stąd oczywisty wniosek i t. d....

„Innym odcieniem braku krytycyzmu w badaniach jest tendencyjność. Pragnie się wszystkie barwy obrazu dostroić do malowidła, które ma wypaść w takim a w takim tonie, a więc zmienia się źródło przez dowolne poprawki, dodatki i t. p. Jako przykład biorę jeden dosadny z wielu. Porównywam sprawozdanie badacza ze źródłem. Mamy pojedynek Słowackiego z Ropelewskim, który opisuje Słowacki w liście do Bobrowej i p. Hösick. „Aby się zabezpieczyć przed policyą — powiada Słowacki — ‚kupiliśmy królika‘, który był ‚śmieszno-tragiczną‘ stroną pojedynku“. Ponieważ jednak donkiszotostwo ma płynąć z zachowania się strony przeciwnej, p. Hösick woli, aby śmieszność

spadła na sekundantów i o nich mówi: „kupili królika“ i t. d. Słowacki w liście dosłownie cytuje swą odpowiedź medyującym Platerom, nieimpertynencką, nieobraźliwą i słuszną. P. Hösick od siebie dodaje, że „nie licząc się ani z wiekiem, ani z tytułami Platerów, wyłajał ich, jak na to zasługiwali. Przy tej sposobności dostało się również Nabielakowi“. O tem wszystkiem w źródle ani wzmianki, a przytem p. Hösick— dziwna rzecz — nie czuje, jak ubliżającem dla Słowackiego byłoby takie obcesowe „łajanie“ ludzi, którzy przecież nic nie zawinili, a wiekiem i stanowiskiem przewyższali w świecie ówczesnym poetę. Niekiedy ta dowolność w zmianie źródeł po prostu oburzyć może. Słowacki wiódł życie czyste i chlubił się tem. W liście z Florencyi, 10 lipca 1838 r. pisze: „Trzymam serce moje na uwięzi i czystsze wiodłem życie, jak inni“. „Widziałem, że to dziwiło Teofila, kiedyśmy byli w Rzymie, i że mię miał za oryginała nie do naśladowania“. P. Hösick, opisując pobyt Juliusza w Rzymie, powiada: „A były jeszcze i inne rzeczy, które ich dziwiły w Julku. Tak np. nie mogli zrozumieć jego szczególnego sposobu życia. Jak to można, ażeby młodzieniec w tym wieku, co on, prowadził się tak skromnie, tak... ascetycznie“ i t. d. Ich to znaczy Teofila Januszewskiego i jego żonę Hersylię. Jeżeli mężczyzna wyraża podobne zdziwienie — to jeszcze da się wytłomaczyć, ale coś podobnego insynuować kobiecie — toć to wprost obelga.

„Nie myślę też, aby właściwym był sposób tłomaczenia wypadków z życia, charakteru, jakich okoliczności wypadkom towarzyszących, za pomocą analogii z usposobieniem, wydarzeniami lub sytuacyami z dzieł pisarza... Niektórzy nasi uczeni — zwłaszcza zaś p. Hösick — nie czynią sobie z tego skrupułu i pełną dłonią czerpią n. p. z Horsztyńskiego. Warto tu doprawdy przypomnieć, że w swoim czasie zbrodnicze czyny bohaterów Byrona przypisywano Byronowi, że kazirodztwo tego poety chciano widzieć w rozpaczy Manfreda i w małżeństwie Kaina z własną siostrą Adą.

„Spokojne, roztropne i przedmiotowe badanie liczy się też z każdym szczegółem, nie miewa upodobań do wynoszenia jednej osobistości kosztem innych, bo to są sztuczne koturny i posąg na tym glinianym piedestalu wzniesiony wcześniej później runąć musi. I jeszcze raz wezwę tu na świadka ks. biskupa Naruszewicza, który mądrze radzi: „Celem historyka, aby opowiadając, co się działo, oświecał czytającego bez miłości i nienawiści, jeśli się to dobrze lub przeciwnie dobru pospolitemu działo“. Takim też powinien być krytycyzm.

„Nakoniec słówko o t. zw. u nas metodzie porównawczej. Metoda ta polega najpierw na tej zasadzie, że pewne prądy życia społecznego wskutek przyswojenia obiegają społeczeństwa inne, a dalej i na tej, że płody ducha ludzkiego różnych epok i wieków, wessane w krew i mózg innych duchów, ujawniają się znowu w ich twórczości na mocy reprodukcyi. Jednakże zdaje mi się, że w umyśle każdego człowieka pod wpływem takich samych czynników, czy wewnętrznych, czy zewnętrznych mogą powstać wyobrażenia, jakie już powstały w innych. Stąd porównawcze badanie musi zachować miarę i ostrożność. Wyłapywanie słów podobnych, nawet obrazów i zwrotów, nawet sytuacyj, jest nie uprawnione bez licznych dowodów zewnętrznych, a gdyby takie dowody nawet się znalazły, to i tak z ferowaniem wyroku należy być oględnym. Biorę np. „Pana Tadeusza“ i „Zofiówkę“ Trembeckiego. Znajduję tam określenie wody, która ma „przejrzystość dyamentu, a lekkość deszczową“; każdy sobie przypomni z „Tadeusza“ „przejrzystość bursztynu“ i „gęstość miodowego płynu“ kawy polskiej, ale czy stąd można snuć poważne wnioski? Gdybyśmy n. p. „Lament“ Starowolskiego porównali z 3-em sejmowem kazaniem, albo „Jerozolimę“ Piotra Kochanowskiego z „Pieśnią Wiednia wybawionego“ Kochowskiego, wydobylibyśmy setki takich podobieństw. Powiedzmy raz szczerze: słowo, zwrot, podobna myśl nic nie mówi. Zdarzają się niekiedy wyjątkowo uderzające obrazy, na podstawie których snuć można domysły, jeśli zewnętrzne dowody wesprą. Inaczej, gdyby tak w dalszym ciągu porównawcze badanie obchodziło się z pisarzami, jak się obchodzi dotąd ze Słowackim lub nawet Krasińskim, dojdzie do tego, że na poetach naszych nie pozostawimy nic zgoła, a krytyka porównawcza stanie się bałamutną szarpaniną łatek, zamiast być objaśnieniem twórczości poetycznej. Wszystko zaś płynie z pochopności do hipotez, z braku krytyki naukowej, a może po troszę z pośpiechu i gorączki dziennikarskiej, wskutek której publikuje się rzeczy, napisane prędko i obmyślane niedostatecznie“.

II. Zapomogi dla literatów.

Pani H. wystąpiła w *Tygodniku Illustrowanym* z projektem założenia z powodu rocznicy Mickiewiczowskiej kasy wsparć i zapomóg dla emerytów literatury. Wspominając o tym projekcie kronikarz *Głosu* pod pisujący się *al*, słuszne czyni uwagi nad położeniem naszych literatów. Powtarzamy je prawie w całości, z pominięciem kilku drobnych ustępów.

Czytamy w *Głosie:*

„Nie podoba się nam ów wiecznie pokutujący w sprawach tego rodzaju podkład filantropijno-żebraczy, sformułowany w pojęciu wsparć i zapomóg dla chorych i kaleków, zniedołężniałych w służbie bogini Literatury. Bez wątpienia ludzie ci zasłużyli na to, aby o nich pamiętało społeczeństwo, któremu najpiękniejsze swe lata poświęcili. Ale któż pyta, jak oni przepędzili

te najpiękniejsze lata? jakie mieli braki moralne i materyalne? jak te braki odbiły się na ich twórczości? O ileż większe usługi oddaliby oni temu społeczeństwu, o ile praca ich byłaby bardziej intensywna, energiczniejsza, płodniejsza, bardziej uwspółrzędniona, gdyby w swoim czasie, za tych najpiękniejszych lat swego życia, znaleźli pomoc właściwą, gdyby mieli warunki takie, w których mogliby pracować spokojnie i ześrodkowani?... Wytworzenie warunków, w których mogliby pracować młodzi pisarze — jest rzeczą nie mniej ważną, jak wynalezienie „wsparć i zapomóg“ dla emerytów. Młodzi pisarze powinni przedewszystkiem uczyć się; tymczasem zdarza się najczęściej, że osiągnąwszy pewien stopień nauki, piszący, porwany wirem codziennej pracy dziennikarskiej, nie może, nie ma czasu i sposobności uczyć się dalej, wpada więc w zastój. Cóż dziwnego potem, że jego twórczość jest suchotnicza, a energia ducha rychle zamiera? Konieczność zarobkowania jest to demon, który najbardziej wysysa talenty; ten, ktoryby choć na lat parę z życia literata usunął tego demona, i jemu i społeczności odda niesłychaną usługę. Szkoda tylko, że takich ludzi u nas prawie niema.

„Niema ich powiadam — ale nie ze złej woli to pochodzi, tylko wprost z braku poczucia takiej potrzeby. Ludzie, oddający się nauce, mają akademię, stypendya przy uniwersytecie Jagiellońskim, kasę Mianowskiego; ale literatura niema absolutnie żadnej tego rodzaju pomocy stałej, prócz chyba t. zw. konkursów, które są rodzajem loteryi...

„Nie mam tu zamiaru wojować z nauką; tylko zwracam uwagę na tę nierównomierność... Prędzej już znajdzie pomoc młody malarz lub muzyk, zapewne dlatego, że jego dzieła widać: malowanki każdy może oglądać, a nazwisko koncertanta brzmi na obu półkulach. Literatura tylko jest pasierbicą swojej społeczności; poeta pracuje w odosobnieniu i jeżeli chce tworzyć rzecz poważną, rzecz nie z dnia na dzień, rzecz nie na rynek obliczoną, to musi pracę swoją bezustannie przerywać robotą dziennikarską, czy biurową, pisaniem powieści, układaniem antologji lub kalendarzy!

„Pomijam tę sprawę, że za najlepsze, za najbardziej wartościowe dzieła autorzy u nas właściwie honoraryów nie dostają wcale, albo śmiesznie małe; ale często nie można nawet rzeczy swej wydać! Dzieło piękne najczęściej nie jest interesem księgarskim, a nie ma u nas wydawców-amatorów w takim rodzaju, jak u Rosyan Gerbel. Są u nas magnaci, którzy tysiące rubli tracą na konie i Eldorado, ale żaden niema tyle rozwiniętego mózgu, aby być oryginalnym, aby własne swoje niemałpowane marnotrawstwo wynaleźć — i zabawić się w sport mecenasowski!...

„Czesi mają wspaniałą instytucyę, która niezmiernie ożywczo działa na twórczość pisarzy. Jest to fundusz na podróże dla literatów. Mówić o wpływie podróży na twórczość, zdaje się, niema potrzeby. Kto wie, czy Sienkiewicz połowę swego geniuszu nie zawdzięcza podróżom? Juliusz Zeyer, jeden z najpiękniejszych talentów naszych czasów, całą ziemię objechał kosztem czeskiego funduszu podróżnego. Czyby nie warto było u nas takiej instytucyi założyć? Choćby ona 7 na 10 razy się pomyliła, to jeszcze jednak w 3 razach byłaby użyteczną.

„Przed paru laty — człowiek nieco nadobłoczny, Stefan Mallarmé, podał w *Figarze* bardzo rozumny projekt do prawa.

„Na zasadzie prawa własność dzieł pisarzy zmarłych po latach 30 staje się własnością publiczną. A więc Kochanowski, Krasicki, Mickiewicz itd. nominalnie są własnością publiczną. Nominalnie tylko, gdyż w istocie umiejętność wydawania książek należy do księgarzy i dzieła umarłych autorów są własnością księgarzy tylko, a nie ogółu. Z wydawania tych dzieł księgarze ciągną grube zyski; jest to wprost potworne, że z własności publicznej korzysta jedna warstwa ludzi, warstwa najbardziej wyzyskująca pracę umysłową, tem potworniejsze, że księgarze, którzy i tak wysysają pisarzy za życia, jeszcze i umarłym spokoju nie dają. Taki stan rzeczy zmienić należy. Jeżeli kto ma prawo do zysku z wydawnictwa dzieł pisarzy zmarłych, to chyba tylko ich prawi potomkowie — pisarze żyjący. Należy więc albo zmonopolizować wydawnictwo dzieł pisarzy zmarłych w rękach stowarzyszeń literackich centralnych (w każdym kraju), albo też oznaczyć jakiś wysoki procent (25% lub 33,3%), ktoryby księgarze płacili stowarzyszeniom z dochodów od sprzedaży dzieł pisarzy umarłych. Fundusz, zgromadzony tą drogą, powinien iść naprzód na popieranie autorów młodych, powtóre na emeryturę starszych.

„Nie mało słuszności zawiera projekt Stefana Mallarmego“.

Uwagi *Głosu*, powtarzamy, są bardzo słuszne. Niema prawie zawodu na świecie, któryby nie otrzymywał pewnej pomocy od ogółu, kraju lub państwa — z wyjątkiem (przynajmniej u nas) zawodu literackiego. W Królestwie można to tłomaczyć nienormalnością stosunków, ale przypatrzmy się Galicyi. Są fundusze, choć niewielkie, na popieranie handlu i przemysłu — ten lub ów kupiec czy przemysłowiec otrzymuje z nich pożyczkę lub zapomogę. Młody rzemieślnik dostaje stypendyum na wyjazd za granicę. Ludzie rozpoczynający pracę naukową, jak na nasze stosunki, narzekać nie mogą: myśli o nich trochę państwo, dba o nich nieco kraj, starają się im przyjść w pomoc instytucye naukowe, jak Akademia, korzystają wreszcie z kilku poważnych zapisów; co roku nawet, przynajmniej kilku młodych uczonych otrzymuje dość spore zasiłki na podróże naukowe. Nie zazdrościmy malarzom, boć wielu z nich biedę klepie, ale mają nagrodę Barczewskiego, czasem jakieś miasto kupi obraz, czyni

to samo od czasu do czasu państwo, czyni kraj, czyni Muzeum narodowe. Sejm muzykantom, a zwłaszcza śpiewakom i śpiewaczkom zanadto nawet roztwierał ramiona i marnował wprost pieniądze, bo stypendyści ci albo całkiem się głosu nie doczekali, albo jeżeli go wyrobili, to śpiewają zagranicą. A teatr? Kosztami milionów stawiają miasta te „świątynie“ sztuki, a kraj im udziela hojnych subwencyj. Ba! za sprowadzenie opery włoskiej do Krakowa, dyrektorowi teatru, za to, że na tem zarabia, uchwala komisya artystyczna wyrobić osobną subwencyę.

A cóż się czyni w Galicyi dla literatury? Nic — oprócz jakiegoś czasem konkursu dramatycznego, na co, jak uczy doświadczenie, szkoda pieniędzy. Czy dostał który literat „nagrodę“ za poezye, powieść i wogóle za jakie dzieło z zakresu literatury pięknej? Czy dano któremu stypendyum, zasiłek, a choćby pożyczkę, aby mógł swobodniej popracować, a nie zużywać sił swoich na drobiazgi do pism literackich i dzienników? Wprawdzie żadne miasto, ani żadna instytucya nie może kupić... powieści lub dramatu, ale jeżeli miliony mogą dawać gminy na budowanie i utrzymywanie teatrów, toć mogłyby chyba znaleźć i mały fundusz na popieranie literatury. Dlaczego Czesi mogą mieć w swojej Akademii dział literacki? dlaczego ciż sami Czesi mogą wyznaczać nagrody za najlepsze utwory beletrystyczne? dlaczego znowu ciż sami Czesi dają literatom na podróże, aby coś zobaczyli, czegoś się nauczyli, rozszerzyli zakres swych wiadomości i wrażeń artystycznych, — a dlaczego z takich zasiłków u nas korzystają tylko ślusarz, mechanik, stolarz, pszczelarz, ogrodnik, rolnik, filolog, przyrodnik lub historyk?

Takich uwag i pytań nasuwa się jeszcze cała setka.

A zresztą czy my w Galicyi przy tych stosunkach możemy mieć literaturę? Zanika ona coraz bardziej — staje się pobocznem zajęciem urzędnika lub profesora. Literatów, którzy się tylko literaturze poświęcają, można policzyć na palcach, a i ci, jeżeli nie chcą z głodu umierać, są literatami warszawskimi z siedzibą w Galicyi. Połowa z nich przykrzy sobie tę siedzibę i ucieka wprost do Warszawy. Nie mamy też pism literackich, nie umiemy się zdobyć ani na jedno pismo illustrowane. A czy takie wydawnictwo nie miałoby prawa zażądać subwencyi? Wszak bez pism literackich poziom intelektualny wznosić się nie może. Galicyę zalewają tylko pisma niemieckie, z któremi warszawskie nie mogą rywalizować, choćby już ze względu na cenę i wielkie koszta przesyłki. Sam stempel i przesyłka tygodnika warszawskiego, to zwyżka o 4 złr. rocznie.

Rządzie państwa, sejmie galicyjski, gminy, instytucye, mecenasi, wy matki opiekujące się wszystkiemi gałęziami produkcyi ludzkiej, przestańcie być macochami dla samej tylko literatury.

UWAGI i NOTATY.

(*k*. Składki na pomnik Mickiewicza w Warszawie zamknięto dnia 14 bm. Wynoszą one około 220.000 rs., zebranych w ciągu dwóch miesięcy. Nie przesadzimy, jeżeli powiemy, że gdyby jeszcze przez dwa miesiące składki przyjmowano, doszłyby do półmiliona rubli, bo ofiarność coraz się zwiększała i coraz szersze sfery grosz swój dorzucały.

Objaw to piękny, a jakiekolwiek mogą być zapatrywania na potrzebę wznoszenia w obecnej chwili pomnika Mickiewiczowi w Warszawie, pozostanie fakt nieulegający zaprzeczeniu, że społeczeństwo tamtejsze złożyło świetny dowód solidarności i ofiarności.

W poprzednich numerach naszego *Przeglądu* podaliśmy parę zestawień cyfrowych, tyczących się tych składek. Do kompletu dodajemy dziś jeszcze trzecie, króciuteńkie...

Na pomnik wieszcza w Krakowie wpłynęło z Królestwa koło 55.000 złr. — ciekawa więc rzecz, jaki udział przyjęła Galicya w składkach na pomnik warszawski?

Przeglądając sumiennie, znaleźliśmy pozycyj galicyjskich 9, wyraźnie dziewięć, z tych trzy zbiorowe. Wszystkie te pozycye dodane do siebie dają summę 191 rs. Nie przeczymy zresztą, że mogliśmy kilka (ale to co najwyżej kilka) pozycyj przeoczyć.

Kto tę summę złożył?

Arystokracya nie dała ani centa — tyleż dali, a raczej nie dali obywatele ziemscy, przemysłowcy, bankierzy, wszelkiego rodzaju dostojnicy państwowi i autonomiczni.

Kto więc dał? Oto kilkanaście rubli wpłynęło od młodzieży, kilkadziesiąt od inteligencyi, 2 złr. 80 cnt. od włościan zebranych w Wieliczce na sejmiku relacyjnym i 138 rs. ...od literatów (sami członkowie Kółka mickiewiczowskiego we Lwowie złożyli 106 rs.)

Z tego się pokazuje, że najbogatszymi ludźmi w Galicyi są literaci, skoro mogli złożyć trzy czwarte summy dostarczonej przez całe społeczeństwo galicyjskie. Najbiedniejszymi zaś są magnaci, skoro ani centa nie dali.

(*b*) Pisma galicyjskie były łaskawe przedrukować z „Kuryera warszawskiego“ streszczenie naszego zestawienia porównawczego składek na pomniki Mickiewicza w Krakowie i Warszawie. Ponieważ *Przegląd* nasz dostaje się o dwa tygodnie wcześniej do rąk redaktorów dzienników galicyjskich, niż do redakcyj warszawskich, mamy więc jeden dowód więcej, jak spieszne informacye w sprawach literackich podają nasze dzienniki. Każda wogóle wiadomość literacka dostaje się z Krakowa do Lwowa, a nawet z Krakowa do samego Krakowa, drogą na Warszawę, a czasem na-

wet na Petersburg za pośrednictwem „Kraju“. To mało, ale naprzykład zdarza się i to naszemu *Przeglądowi*, że umieszczone w nim sprawozdanie z jakiejś książki przedrukuje pismo warszawskie z podaniem podpisu autora, a w jakiś czas później spotykamy przedruk tego przedruku w jednem z konserwatywnych pism lwowskich, — ale naturalnie już bez podpisu autora, który nic dziwnego, że zginął w tak dalekiej podróży.

Jak sądzicie? gdyby dziś żył Mickiewicz i dziś napisał „Pana Tadeusza“, — czy dowiedziałaby się w ciągu roku z dzienników publiczność galicyjska, że ukazał się ten poemat? Z Warszawy zapewne wiadomość o nim przyjśćby nie mogła, więc nie byłoby jej skąd przedrukować. Chyba, że Mickiewicz należałby do którego ze stronnictw mających organ własny, albo miałby przyjaciela w jednej z redakcyj. A, w takim razie, możeby nawet doczekał się szeregu wstępnych artykułów o swoim poemacie.

Są jeszcze ludzie odważni...

Do rzędu ich zaliczyć należy właścicieli „Ateneum“, którzy usunęli od redakcyi tego miesięcznika dra Piotra Chmielowskiego. Redagował on „Ateneum“ przez lat kilkanaście sumiennie i bezstronnie, — dzięki temu, „Ateneum“ uznano za najwybitniejszy organ literacko-naukowy.

Dlaczego więc Chmielowski przestał być redaktorem? Czy jest może ktoś od niego na to stanowisko odpowiedniejszy, czy sam się chciał usunąć, czy może obniżyła się jego powaga literacka? Nie, żadna taka okoliczność nie zachodzi, a co do powagi, to ta z każdym rokiem się zwiększa, bo każdy rok wydaje nowe owoce jego mozolnej, wyjątkowej rzec można pracy.

Więc co wpłynęło na decyzyę panów właścicieli „Ateneum?“ Oto nie podobają się im polityczne zapatrywania Chmielowskiego. Jakto? wszak on je miał zawsze jednakowe, wszak ich nie zmienił w ciągu lat ostatnich. Tak, on ich nie zmienił, ale panowie właściciele je zmienili.

Bliżej tej sprawy nie roztrząsamy, zresztą jest ona tajemnicą publiczną.

Ale pp. właściciele to jeszcze nie najodważniejsi ludzie. Najodważniejszym będzie ten, który w takich warunkach przyjmie spadek po Chmielowskim. Ciekawa rzecz w każdym razie, kto będzie ten śmiałek? Napróżno jednak usiłowalibyśmy odgadnąć, — to tylko wiemy, że być go nie może między poważnymi przedstawicielami literatury i nauki i w ogóle między ludźmi mającymi szacunek dla samych siebie.

(*kb*) Wspominając w nrze 12 naszego *Przeglądu* ogólnikowo o składkach włościan na pomnik Mickiewicza, nie mieliśmy w ręku „Gazety świątecznej“, pisma dla ludu, wychodzącego w Warszawie. W ostatnich dniach dopiero przeglądaliśmy to pismo i oto co wyczytaliśmy:

Do samej „Gazety świątecznej“ nadesłali włościanie z Królestwa 578 rs. 98 kop. W sumie tej niema jeszcze składek przysłanych po zamknięciu listy składkowej. Ponieważ zaś ostatnia lista z jednego tygodnia wykazuje 202 rs. 30 kop., — możemy więc śmiało przypuścić, że ogół składek włościańskich w samej „Gazecie świątecznej“ wyniesie do 700 rs.

Ponieważ oprócz „Gazety świątecznej“, zbierała składki od włościan i „Zorza“, drugie pismo ludowe, ponieważ znajdujemy kilkadziesiąt razy składki włościańskie zbiorowe i w innych pismach — przeto sądzimy, że włościanie z Królestwa złożyli na pomnik Mickiewicza co najmniej 1000 rs.

Byli tacy, co dawali po 50 kop., a nawet po rublu, ale ogół składał po 10, 5, 3 i 2 kopiejki. Stąd wniosek, że w składkach na pomnik Mickiewicza wzięło udział koło 10.000 włościan.

Rzewne uczucie wywołują wyjątki z listów włościańskich, pisanych do „gazetek“, przy załączaniu kwoty składkowej.

Bibliografia czasopism polskich

za miesiąc czerwiec 1897.

I. Beletrystyka.

Abgar-Sołtan. Panna Siekierczanka. Tygodnik niedzielny, nr. 24.
Ceysinger H. Na zawsze, nowela. Tygodnik mód i pow., nr. 24.
Dąbrowski J. Idylla. Tygodnik ilustrowany, nr. 24.
Deotyma. Z poematu Sobieski pod Wiedniem: Uczta u króla. Tygodnik ilustrowany, nr. 25 i 26.
Glatman L. Smoleńskie wspominki, powieść historyczna. Gazeta lwowska, czerwiec.
Gliński K. Noc świętojańska. Tygodnik ilustrowany, nr. 25.
Improwizacye Deotymy, wypowiedziane podczas obchodu jubileuszowego d. 27 maja. Kuryer warszawski, nr. 151.
Kalinowski K. Maruchna. Kuryer niedzielny, nr. 25.
Klemensiewicz J. Atlas, wiersz, Krytyka, maj.
Klemensiewicz T. Prawdziwa historya o Rufinie, Magdzie i Łysuli. Dziennik krakowski, nr. 444 i dalsze.
Lemański J. Amor i Psyche (wiersz). Głos, nr. 23.
Łętowski J. Sonety. Kuryer niedzielny, nr. 24.
— Fata Morgana. Tygodnik ilustrowany, nr. 14.
Maszewski A. Z motywów Izajaszowych. Ateneum, czerwiec.
Or-ot. Żaki (z cyklu „Za dawnych dobrych lat“). Kraj, nr. 22.
Pomian W. Duch a wieszcz. Kuryer niedzielny, nr. 26.
Rydel L. Meduza, wiersz. Biblioteka warszawska, czerwiec.
Sygietyński A. W noc świętojańską, nowela, Kuryer warszawski, nr. 171—173.
Tetmajer K. Kallipigos. W Arkadyi. Bajka o jastrzębiu. Przegląd tygodniowy, nr. 23.

II. Historya literatury, rozprawy literackie, życiorysy literatów i uczonych i przyczynki biograficzne.

Bartoszewicz K. Druga struna. Kraj, nr. 24.

Chmielowski P. Michał Bałucki jako komedyopisarz. Ateneum, czerwiec.

Flach J. Gerhardt Hauptmann jako pisarz dramatyczny. Przegląd polski, czerwiec.

Honoryusz. Deotyma. Kuryer niedzielny, nr. 22.

Kopia Henryk. „Takowy". Przegląd prawa i adm., czerwiec.
Przedruk z „Muzeum" (r. 1895). Artykuł przeciw temu chwastowi języka, używanemu błędnie zamiast zaimków: on, ten, ów, tenże.

Korotyński Wł. R. Pelopidowie. Kuryer warszawski, nr. 160.
O wystawieniu na scenie warszawskiej tragedyi Korzeniowskiego „Pelopidowie". Autor wyszukał we współczesnych dziennikach, że wystawiono ją d. 28 stycznia 1830 r. Następnie podaje recenzye tej tragedyi w ówczesnych pismach warszawskich.

Lange A. Juliusz Zeyer. Tyg. mód i pow., nr. 26.

Łopaciński H. Słówko o pamiątkach po Janie Kochanowskim Kuryer codzienny, nr. 177—179.
Autor zrobił wycieczkę do Czarnolasu i Zwolenia. Nic nowego nie podaje, przypomina tylko różne życzenia w sprawie tych „pamiątek" wypowiedziane. Podaje też bibliografię „prac ważniejszych", tyczących się Czarnolasu, Zwolenia i wsi sąsiednich.

M. J. Deotyma. Głos, nr. 22.

Nowiński J. Dygasiński jako beletrysta. Ateneum, czerwiec.

Offmański. Dwudziestolecie Akademii Umiejętności. Przewodnik naukowy i literacki, czerwiec.

Posner M. Z literatury obcej (o Maeterlincku). Krytyka, maj.

R. K. Deotyma. Ster, nr. 13. Tamże opis jubileuszu poetki pióra M. Przewóskiej.

Spasowicz Wł. Pod pręgierzem zdrady. Kraj, nr. 24.
O głośnym artykule Franki o Mickiewiczu.

Sten J. Bolesław Prus Krytyka, maj.

Weissberg M. Przyczynek do historyi literatury nowohebrejskiej w Polsce w XVII i XVIII wieku. Przewodnik naukowy i lit., czerwiec.

III. Rozprawy treści naukowej, społecznej itp.

Askenazy S. Głos nauki. Biblioteka warszawska, czerwiec.
O Max Lehmanna „Preussen und Polen". Charakterystyka pisarza i pracy jego, będącej „głosem sumienia i prawdy".

A. S. Szczypiorek, godzina myśli młodej nauczycielki. Przegląd pedagogiczny, nr. 12.

Balicki Z. Indywidualność a indywidualizm. Głos, nr. 24 i dalsze.

Daniłowski G. Materyalizm dziejowy, wola i świadomość w historyi. Prawo historyczne. Krytyka, maj.

Darowski A. Jan Kazimierz w Rzymie. Przegląd polski, czerwiec.

Dygasiński A. Wędrówki po zamkach. Solec. Kuryer warszawski, czerwiec.

Flaum M. Zdrowie czy choroba. Biblioteka warszawska. czerwiec.
Streszczenie badań antropologicznych i biologicznych nad przestępcami.

Gruszecki A. Na górnym Szląsku (Sosnowiec, Bytom, Opole). Kuryer warszawski, nr. 168 i dalsze.

— Polacy w głębi Niemiec. Tygodnik ilustrowany, nr. 26.

Gutwiński R. Wyniki badań przyrodniczych, ogłoszonych w wydawnictwach Akademii Umiej. z lat 1893—1896. Przegląd powszechny, czerwiec

Kniaziowie nieświescy (notatka genealogiczna). Gazeta warszawska, nr. 143 i dalsze.

Koneczny F. Nowiny z historyografii polskiej. Przegląd powsz., czerwiec.
Dokończenie notowanego już przez nas artykułu. Autor omawia w nim prace Askenazego, Kraushara, Korzona, Waliszewskiego itd. w ogóle najnowsze studya do w. XVIII.

Korotyński Wł. Bielany (warszawskie). Kuryer warsz, nr. 155.

Kraushar A. Henryk Krajewski. Tygodnik ilustrowany, nr. 26.

Krzyżanowski A. Z dziejów polityki agrarnej w sejmie galicyjskim. Przegląd polski, czerwiec.

Łoziński B. Jubileusz samorządu. Biblioteka warszawska, czerwiec.
Na podstawie publikacyi pamiątkowej: „Miasto Lwów w okresie samorządu 1870—1895".

Malinowski P. Militaryzm współczesny. Ateneum, czerwiec.

Morawski M. ks. Podpieracz katolicyzmu. Przegląd powszechny, czerwiec.
Polemika z rozprawą „Idea polska wobec prądów kościelno-politycznych", drukowaną w „Słowie polskiem".

Neumanowa A. Z życia nad Nilem. Biblioteka warsz., czerwiec.
O muzeum staroegipskich wykopalisk w Kairze.

Niewiarowski (Półkozic). Na placu Krasińskich. Kuryer warszaw., nr. 160.
Charakterystyka placu, w której się znajduje anegdota o Wilkońskim, Włodzimierzu Wolskim i J. B. Dziekońskim.

Rowiński Wł. Parafia staromilska w Łodzi. Tygodnik ilustrowany,

Siemiradzki J. Wychodztwo polskie w Brazylii. Przegląd powsz., czerwiec.

Spasowicz Wł. Henryk Krajewski. Kraj, nr. 24.

Suesser I. Inspektorat przemysłowy w Galicyi. Krytyka, maj.

Trepka M. E. Wielka Brytania jako federacya. Ateneum, czerwiec.

IV. Recenzye i sprawozdania.

Bałucki M. Wiś i Dziunia (W. Karczewski w Bibliotece warsz., czerwiec).

Biegeleisen. Dzieła Aleksandra Fredry. (K. Bartoszewicz w Kraju, nr. 22).

Chełmicki Z. X. Requiescat in pace. (St. Popowski w Bibl. warsz., czerwiec).

Daszyńska Z. Nietsche Zarathustra. (Ateneum, czerwiec).

Helistan. Szkice i obrazki. (St. w Roli, nr. 26).

Junosza Kl. Z papierów po nieboszczyku Czwartym. (W. Karczewski w Bibl. warsz. za czerwiec).

— Suma na Kocimbrodzie. (Kuryer niedz, nr. 22).

— Zagrzebani i Suma na Kocimbrodzie. (B. Biernacki, Niwa, nr. 26).

Klemensiewicz J. Poezye. (I. Suesser w Krytyce za maj).

Korzon T. Dzieje wewnętrzne Polski. (I. T. Hodi w Przeglądzie tygodniowym, nr. 24).

Krumłowski K. Mania. (Sten S. w Krytyce za maj).

Krzyżanowski A. W więzach. (St. w Roli, nr. 25).

Łoś W. Odrębna istota. (W. Karczewski w Bibl. warsz., czerwiec).

— Parafianka. (Kuryer niedzielny, nr. 23 i Gazeta warszaw., nr. 147).

Małecki A. Z dziejów i literatury. Pisma pomniejsze. (A. Rembowski w Bibl. warsz. za czerwiec).

— Lechici. (K. Krotoski w Przegl. powsz, czerwiec).

Niedziałkowski K. ks. Nie tędy droga szanowne panie. (Wł. Jabłonowski w Głosie, nr. 26).

Pechnik Al. X. Logika elementarna. (X. Pawlicki w Przegl. pols., czerwiec).

Piekosiński F. Rycerstwo polskie wieków średnich. (A. Rembowski w Bibl. warsz. za czerwiec).

Reymont Wł. Komedyantka i Fermenty. (J. St. w Krytyce za maj).

— Fermenty. (K. W. w Tygodniku mód i pow., nr. 22).

Rydel L. Z dobrego serca. (F. Koneczny w Przeglądzie polskim, czerwiec).

Sewer. Marcin Luba. (X. w Gazecie polskiej, nr. 136; K. Zalewski w Kuryerze warszaw., nr. 166 i 167; G. Kempner w Przegl. tygod., nr. 26).

Szukiewicz Kl. Śnieg. (F. Koneczny w Przegl. pol. za czerwiec).

Tarnowski St. Studya do historyi literatury. (J Sten, Dziennik krakowski, nr. 442)

Wacław X. Kapucyn. O obrazie N. M. P. Berdyczowskiej. (Marek Gozdawa w Gazecie warszawskiej, nr. 165).

Zahorski J. Szekspir w Polsce. (Ateneum. czerwiec).

Rzeczy polskie w obcych literaturach.

I. Przekłady z polskiego.

Asnyk Adam. Kiejstut, tragoedie v pěti jednánich, autorisovaný překlad Frant. Vondračka. Praha, vydává Akademie česka pro védy, slovesn. a umeni, 1897, str. 117.

„Literárni listy“ podają w tłomaczeniu studyum o Orzeszkowej pióra *E. Jerlicza.* Przekładu dokonał K. Krivy.

Rossowski Stan. Ze stezek života, obrazky, z polštiny přeložil František Vondraček. Praha, 1897, str. 47.

II. Udział Polaków w obcych literaturach.

Arctowski Henryk. La genéalogie des sciences, quelques remarques sur la Bibliographie des memoires scientifiques et le principe de la classification naturelle des sciences. (Odbitka z Bulletin de l'Institut international de bibliographie). Bruxelles, 1897.

Gumplowicz Ludwig. Allgemeines Staatsrecht, 2te umgearbeitete und vermehrte Aufl. des „Philosophischen Staatsrechtes“. Innsbruck, Wagner'sche Universitäts-Buchhandlung, 1897, w 8-ce, str XV. i 522.

P. *Kazimierz Krauz* zamieścił w trzecim tomie rocznika „Międzynarodowego instytutu socyologicznego“ pracę p. t. „Socyolog polski, Stanisław Krusiński“.

Pawłowski G. de. Sociologie nationale, une definition de l'etat. Paris, 1897, str. 36.

Waliszewski K. Pierre le Grand, l'education, l'homme, l'oeuvre, d'apres des documents nouveaux. Paris, 1897, str. 633

Z powodu charakterystyki pisarza Mereżkowskiego, umieszczonej przez *W. Spasowicza* w „Wiestniku Jewropy“, w której autor dotknął stanowiska Puszkina w poezyi społecznej i stosunku jego do Mickiewicza, oraz innych spraw literackich — prawie wszystkie pisma rosyjskie występują ostro przeciw Spasowiczowi.

III. Cudzoziemcy o rzeczach polskich.

Biermann G. Geschichte des Protestantismus in Oesterreichisch-Schlesien. Prag, 1897, str. 223.

Engelhardt H. v. Beitrag zur Entstehung der Gutsherrschaft in Livland während der Ordenszeit, Inauguraldissertation. Leipzig & Riga, A. Stieda, 1897, w 8-ce, str. II. i 123.

Heyking K. H. baron. Aus Polens und Kurlands letzten Tagen, Memoiren, 1752/96, in deutscher Bearbeitung nebst Anmerkungen und Beilagen herausgegeben von Baron A. Heyking Sen. Berlin, 1897, str. 501.

„St. Petersburskija Wiedomosti“ umieściły p. t. „Puszkin i Mickiewicz“ list p. J. Mroczkowskiego, będący odpowiedzią na artykuł p. Ł-ko (Łojko?), korespondenta z Warszawy do Moskiewskich Wiedomosti. Ł-ko mylnie przedstawił stosunek do siebie dwu poetów, stąd p. M prostuje jego fałszywe i umyślnie przekręcone wiadomości. Artykuł ten podała w tłómaczeniu Gazeta polska w nrze 157.

Mazepa Iwan, istoriczeskij roman. Moskwa, 1897, str. 431.

Modl Mart. Kurzer Abris der Geschichte der evangelischen Kirchengemeinde A B. zu Bielitz im Zeitalter der Reformation bis auf die Jetzzeit. Bielitz, 1897.

Recenzyę *Asnyka* „Kiejstuta“ spotykamy w czeskim Studenckym Sborniku, nr. 2.

„Paedagogicke rozhledy“ przynoszą w nrze 9 sprawozdanie z *Krakowowej:* „Przędziwa“ i *J. Chrząszczewskiej:* „Gwiazdy spadającej“.

Polen und Deutsche in der Provinz Posen. (Odbitka z Das Volk.). Berlin, 1897, str. 48.

„Ruskaja Starina“ pomieszcza wspomnienia p. *Zacharina* p. t. „Sąd pokoju na Podolu“. Dużo tam szczegółów ze stosunków panujących przed okresem „reform“ i w ogóle dużo materyału dla historyków „kraju poludniowo-zachodniego“.

Ukazały się w odbitce książkowej „Oczerki Priwislinja“, wychodzące od dawna w miesięczniku „Ruskoje Obozrenje“. Recenzent tej książki p. Kojałowicz nazywa ją odpowiedzią na broszurę hr. Leliwy.

Cesarska Akademia nauk w Petersburgu w r. b. delegowała na lato do gub. kowieńskiej nauczyciela gimnazyum w Rewlu, p. *Jana Jabłońskiego,* który ma specyalnie zająć się badaniem gwar języka litewskiego. Zadaniem p Jabłońskiego będzie również sprawdzenie na miejscu materyałów rękopiśmiennych do „Słownika litewsko-rusko-polskiego“, zebranych przez ś. p. Antoniego Juszkiewicza. Tom pierwszy Słownika został już wydrukowany, a dalszą redakcyę dzieła obejmie p. Jabłoński.

Wasilew I. Pskowskaja gubiernija, istoriko-gieograficzeskije oczerki. Pskow, 1897, str. 322, z mapą.

Wilhelmi Samuel. Des Bürgermeisters .... Marienburgische Chronik, 1696—1726, herausgegeben von R. Toeppen, Theil I. (Programm). Marienburg, 1897, str. 68.

„Vienac“ zagrzebski umieścił sprawozdanie z poezyj *Józefa Klemensiewicza.* Sprawozdawca korzystał z oceny naszego „Przeglądu“.

Wiadomości literackie.

a) z literatury polskiej.

— P. *F. R. Rawita* (Gawroński) pracuje od dłuższego czasu nad dwutomową historyą ruchów hajdamackich. Pierwszy tom tej pracy p. t. Ruina, obejmie wstęp, pogląd na ogólne położenie kraju, pierwsze ruchy hajdamackie, rewolucyą Werłana, pomniejszych watażków, stan ekonomiczny włościan ukraińskich do połowy XVIII. w. itd. itd. Tom drugi „Koliszczyzna“ zajmuje się położeniem, sprawami i zatargami Kościołów, monografią humańszczyzny, udziałem duchowieństwa w Koliszczyznie, wreszcie samą Koliszczyzną, rzezią humańską i hajdamaczyzną w poezyi ludowej, w legendach i w tradycyi.

— Niezadługo ukaże się w Warszawie „Wybór poezyj“ *Deotymy.* Wyjdą one w dwu tomach nakładem K. Treptego.

— *Wacław Sieroszewski* (Sirko) kończy powieść p. t. „W górach Kaukazu“, która się ukaże w „Głosie“ warszawskim.

— „Gazeta gdańska“ zaczęła drukować „Krzyżaków“ *Sienkiewicza* w przeróbce dla ludu. Przeróbki tej dokonał p. B. M. „z przyzwoleniem autora“.

— „Kuryer warszawski“ zapowiada druk w felietonie nowej powieści *Kazimierza Glińskiego* p. t. „Krzywda“.

— Do Sztokholmu wysyła rada miejska lwowska dra *A. Czołowskiego* celem zbadania i opisania pamiątek i zabytków miejskich, wywiezionych tam ze Lwowa po zdobyciu tego miasta przez Karola XII. w r. 1704.

— *Adolf Abrahamowicz* nadesłał świeżo dyrekcyi lwowskiego teatru nową komedyę p. t. „Sport", a kończy pisać drugą p. t. „Podatek osobisto dochodowy".

— „Gazeta warszawska" po ukończeniu obecnie drukujących się utworów w felietonie, przystąpi do druku „Typów i obrazków wołyńskich" *Józefa Dunina Karwickiego*, autora „Wspomnień Wołyniaka" i „Opowiadań historycznych z dziejów okolicy Słuczy i jej dopływów".

— W Warszawie cieszy się powodzeniem farsa p. t. „Wesoła banda", napisana przez M. Leboeuf'a i W. Claire'a — czyli po polsku M. Wołowskiego i Winklera.

— Teatr „Odeon" w Warszawie wystawił z powodzeniem sztukę ludową pp. *Laskowskiego* i *Bolesławskiego* p. t. „Bieda".

— Teatr łódzki zamierza wystawić w warszawskim „Wodewilu" w najbliższym czasie ostatnią pracę ś. p. *Jana Szutkiewicza*, znanego autora „Popychadła" i „Kuli u nogi", p. t. „Ostatnia sukienka".

— „Gazeta świąteczna", warszawskie pismo dla ludu, umieściła w ostatnim numerze „Trzech Budrysów" *Mickiewicza* z obszernemi objaśnieniami; wyborny to środek do utrwalenia pod strzechami imienia poety. „Zorza", drugie pismo ludowe, zyskała znaczną ilość nowych prenumeratorów, wskutek przedruku powieści Kraszewskiego p. t. „Kordecki".

— Stan zdrowia *Adama Asnyka* jest bardzo groźny.

— W kongresie dziennikarskim, odbytym z początkiem lipca w Sztokholmie, z polskich dziennikarzy i literatów wzięli udział: ze Lwowa pp. Liberat Zajączkowski, dr. Edw. Lilien, Ludwik Masłowski i St. Rossowski; z Wiednia: Lud. Szczepański i dr. J. Zipser; z Warszawy: J. A. Święcicki, J. Gadomski i St. Lesznowski. W imieniu prasy polskiej przemawiał na bankiecie L. Zajączkowski.

— Powstał projekt zwołania w Krakowie w roku przyszłym, jako jubileuszowym Mickiewicza, zjazdu literatów i dziennikarzy polskich i słowiańskich. O ile wiemy, poważne czeskie koła literackie myśl tę przyjęły z wielką sympatyą.

— *Julian Wieniawski* (Jordan) ukończył 25-lecie pracy literackiej. O jubileuszu tym nie głoszono, a jednak postarano się o przypomnienie go jubilatowi. Literaci ze wszystkich polskich prowincyj złożyli mu ozdobny adres. Prócz tego sympatyczny autor „Wędrówek delegata" otrzymał dowód pamięci od licznego grona obywateli.

— Ks. Motylewski odnalazł metrykę chrztu ks. *Augustyna Kordeckiego*. Chrzest ten nastąpił w Iwanowicach (w Kaliskiem) dnia 16 listopada 1603. Mylnie więc r. 1605 lub 1606 podawano za rok urodzin obrońcy Częstochowy.

— Pan *Antoni Potocki* ukończył w r. b. paryską szkołę nauk politycznych. Rozprawa jego p. t. „25 lat germanizacyi w Poznańskiem", podana prof. Anatolowi Leroy-Beaulieu, wykazuje bezskuteczność usiłowań polityki Bismarka.

— Uniwersytet lwowski weźmie udział w jubileuszu *Jędrzeja Śniadeckiego* przez postawienie jego biustu w przedsionku instytutu chemicznego i uroczyste odsłonięcie tego pomnika.

— Na cmentarzu w Poznaniu postawiono na grobie ś. p. *Franciszka Dobrowolskiego*, b. redaktora i dyrektora teatru, pomnik kosztem i staraniem przyjaciół zmarłego.

— Na cmentarzu krakowskim wzniesiono ze składek pomnik dla *Oskara Kolberga*.

b) z literatur słowiańskich.

— „Svatobor" czeski zakupił miejsce, na którem niegdyś wznosił się dom, w którym się urodził *Jan Kollar*, autor „Córy sławy". Na miejscu tem wzniesiony zostanie pomnik znakomitemu poecie. Na cmentarzu olszańskim w Pradze postawiono ze składek pomnik zmarłemu literatowi Józefowi Jerzemu Stankowskiemu.

— P. *N. Miliukow* wydał świeżo w Moskwie dzieło p. t. „Gławnyja tieczenija russkoj istoryczeskoj mysli". Jest to pierwsze dzieło tego rodzaju w literaturze rosyjskiej. Autor przedmiotowo traktuje ruską historyografię XVIII. w. i postęp rosyjskiej myśli historycznej aż do powstania słowianofilstwa. Interesujący jest rozdział o Karamzinie, w którym autor odmawia monumentalności i naukowej wartości dziełu Karamzina „Historya państwa rosyjskiego". Już przed laty trzydziestu kilku tę samą opinię wyraził J. Bartoszewicz w Encyklopedyi wielkiej Orgelbranda.

— Rusini w r. 1898 obchodzić będą dwa jubileusze. Pierwszy będzie uczczeniem setnej rocznicy wydania „Enejdy" Kotlarewskiego, która jest uważaną za pierwsze dzieło wydane w czystym języku ukraińskim. Od Enejdy też rozpoczyna się rozbudzenie literatury małoruskiej. Drugi jubileusz będzie obchodził.... Iwan Franko, który przed 25 laty rozpoczął działalność literacką.

— W czeskiem czasopiśmiennictwie ukazał się literacki „Salon Odmitnutých". Przykład artystów naśladują „najmłodsi", którzy, jak mówią, chcą „zaznaczyć prawo do swej egzystencyi we współczesnem życiu literackiem". Gdyby u nas tacy „odtrąceni" czy „nieprzyjęci" (jak kto woli) chcieli swoje własne pismo wydawać, musiałoby ono mieć kolosalne rozmiary. Zwłaszcza odtrąceni noweliści, poeci i humoryści zdołaliby spożytkować dla siebie wyłącznie kilka drukarń.

— W Petersburgu obchodzono jubileusz 50-letni działalności *M. M. Stasiulewicza*, redaktora „Wiestnika Jewropy". Stasiulewicz odznaczył się na wielu polach pracy społecznej. Z katedry uniwersyteckiej ustąpił w r. 1851. Rada miejska petersburska, za zasługi jego na polu oświaty ludowej, uczci go utworzeniem szkoły i stypendyum jego imienia.

— Na scenie zagrzebskiej wystawiają jedną po drugiej tragedye *Sofoklesa*. Po Królu Edypie i Antygonie dano Elektrę w tłomaczeniu znakomitego poety chorwackiego Harambašića.

Najświeższe nowości.

Adalberg Samuel. J. Stoka, M. Pudłowskiego i J. A. Kmity Powieści wierszowane, 1564—1610. (Biblioteka pisarzów polskich). Kraków, nakł. Akademii Umiej., 1897, str. 121. 60 ct.

Askenazy Szymon. Z działalności ministra Lubeckiego. Warszawa, E. Wende i Sp., str. 63. 60 kop.

Baudouin de C. R. Sylwetki polityczne. Kraków, 1897. 20 ct.

Borkowski Leszek Dunin. Mowy, 1867—1887. Lwów, Seyfarth i Czajkowski, 1897, str. 139, z portretem. 80 ct.

Chmiel Adam. Marcin Oracewicz, mieszczanin krakowski. (Biblioteka krakowska, nr. 1). Kraków, nakł. Towarzystwa miłośników historyi i zabytków Krakowa, 1897, str. 23, z portretem. 10 ct.

Dygasiński Adolf. Dramaty lubądzkie, powieść. Warszawa, nakł. T. Paprockiego i Sp., 1897, str. 134. 60 kop.

Dzieduszycki Michał. Mamuty, komedya w 5 aktach. Lwów, Jakubowski i Zadurowicz, 1897, str. 155. 1 złr. 40 ct.

Gorczak Bronisław. Archiwum książąt Sanguszków w Sławucie, wydane przez ..... konserwatora tegoż archiwum, tom V, 1513—1547. Lwów, str. XXI, 456 i CXVI. 8 złr.

Kallenbach Józef dr. Adam Mickiewicz, tom I. i II. Kraków, Spółka wydawnicza, 1897, str. 301 i 430, z 3 rycinami. 5 złr.

Karbowiak Antoni. Bydgoszcz a Pakość, karta z dziejów wychowania i szkół księstwa warszawskiego. Kraków, Gebethner i Sp., 1897, str. 25. 40 ct.

Karłowicz Jan. Słownik wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia, używanych w języku polskim, zeszyt II. (F—K). Kraków, nakł. autora, Gebethner i Sp., 1897, str. 147—333. 1 rub. 50 kop.

Konopnicka Marya. Nowele. Warszawa, nakł. Gebethera i Wolffa, 1897, str. 342. 1 rub. 50 kop.

Krczek Fr. Raj świata, obraz dziejowy Alojzego Iiraška, z czeskiego przełożył .... Kraków, Spółka wyd., 1897, str. 173.

Leniek J. dr. Ks. Izydora Chrościńskiego, pierwszego prefekta gimnazyum tarnowskiego, Kronika z lat 1784—1794. Kraków, nakł. Akademii Umiej., 1897, str. 109. 80 ct.

Łoś Wincenty hr. Kaprys hrabianki. Warszawa, nakł. G. Centnerszwera, 1897, str. 201. 2 ruble.

— Portret pięknej pani. Tamże, 1897, str. 209. 2 ruble.

Or-ot. Lećcie pieśni, poezye wybrane. Warszawa, nakł. M. Arcta, str. 26, z 18 ilustracyami. 1 rub. 20 kop.

Reymont Władysław St. Spotkanie, szkice i obrazki. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1897, str. 367. 1 rub. 50 kop.

Smolarz Teodor. Fulgenty Buraczyński, historya wyborcza w 5-ciu pieśniach. Kraków, 1897, str. 17.

Snitko J. Cywilizacya starożytna i jej wpływ na rozwój pojęć o narodzie, ustęp z obszerniejszej całości. Poznań, 1897, str. 27.

Studziński C. Charakterystyka i geneza poetycznych utworów Ambrożego Metlińskiego. Kraków, 1897, Akad. Umiej, str. 51. 80 cnt.

Szczepański Alfred. System pani Matyldy, humoreska w 1 akcie. Warszawa, 1897, str. 26.

Udziela Seweryn. Tyniec pod względem typograficzno-etnograficznym. Wieliczka, 1897. str. 17.

Wielebna siotra Teresa od św. Augustyna (Ludwika Marya, córka Ludwika XV. i Maryi Leszczyńskiej). Kraków, 1897, str. 32. 50 ct. (Przedruk rzadkiej broszury z r. 1787 i kazania Aug. Lipińskiego na egzekwiach Ludwiki Maryi w Wilnie 1798.

Wisłocki Wł. Acta rectoralia Almae Universitatis Studii Cracoviensis inde ab a. 1469, tomus I. continens annos 1460—1537. Cracoviae, sumpt. Academiae liter., 1893/97, str. XI., 1222.

Aforyzmy, myśli i zdania.

Dogadzająca osobliwości moda od sukien, budynków, jadła i napoju przeszła w księgi dyskursa i listy nasze i jakby języki i sposób ich używania starzeć się mogli, a starożytność ciągnęła za sobą hańbę, odnawiamy je według upodobania naszego, żyjące dykcyonarze, psując wytworność rodowitej mowy, zarzucamy stare słowa, gdy się nam niedość brzmiące wydają, albo skoro do nich urojone w głowach naszych stosujemy tłumaczenia, a natychmiast stwarzamy niepotrzebne, z innych języków spłodzone potwory, które zwyczaj powszechny makaronizmami przezwał.

Trzeba zawżdy na to mieć baczność, iż każdy język ma swoje właściwe sposoby wyrażenia rzeczy, te gdy się opuszczają, pożyczana zkądinąd etymologia nigdy się dobrze wydać nie może. Jeżeli w słowach cudzych lub makaronizmach jest wada, daleko większy jeszcze błąd, kiedy się ta osobliwość do stylu i sposobu pisania przenosi.

Na koncepta, alluzye do herbów, przewlokłe allegorye, olbrzymowate metaphory nie tak narzekam, daleko ich teraz mniej, niż przedtem było; ale się boję, żeby chęć zbyteczna naśladowania zagranicznego stylu, nieobierająca ztąd, że dobry, ale że osobliwy, nie ztąd szacująca, że zdatny, ale że cudzy, zamiast pożytku nie przyniosła nam szkody. Głębokość angielska, ułożenie francuskie, wdzięk włoski, zapewne godne naśladowania; ale kto zaciekszy się w zbyteczne do jednego przywiązanie będzie i tam nawet subtylizował, gdzie jasnym być powinien, kto tam będzie metodycznie części dyskursu rozmierzał, gdzie i nad reguły wzbić się nie wadzi; kto będzie uszy pieścił, tam gdzie umysł zniewalać trzeba, ten na kształt szerszenia gorycz z kwiatów wybierze i nieprawym użyciem cudzych skarbów zubożeje.

Monitor 1766 nr. 54.

Jeżeli który z waszych przyjaciół nie posiada talentu, piszecie o jego uczciwości, otwartości. Jeżeli dzieło drugiego waszego przyjaciela jest ciężkie, przedstawiacie je jako pracę sumienną. Jeżeli książka jest źle napisaną, chwalicie zawsze w niej myśli. Jeżeli inny jest człowiekiem bez zasad, chwiejnym, wymykającym wam się co chwila, piszecie, że jest powabny, że czaruje. Przeciwnie, jeżeli chodzi o waszych nieprzyjaciół, rzucacie im na głowę żywych i umarłych, przekręcacie dla nich znaczenie wyrazów waszego języka i jesteście o tyle sprytni w odkrywaniu ich błędów, o ile byliście zręczni w uwydatnianiu cnót i zalet waszych przyjaciół.

Honoryusz Balzac („La Peau de Chagrin").

U nas daleko wygodniej jest dla sławy pisarza wystąpić tylko raz lub parę razy z czemsiś obiecującem dalsze arcydzieła, potem usunąć się pod namiot jak Achilles i milczeć. Nazwisko, zbyt często jawiące się na tytułach książek, budzi pewną niechęć, podobną do tej, jaką powziął niegdyś ów szewc ateński do nazwiska Arystydesa. Ja, przyzwyczajony do sądów najróżnorodniejszych, ostrzelany z pochwałą i naganą, ani się cieszę zbytecznie pierwszą, ani się martwię drugą. Lubię sprawiedliwość, miło mi, gdy spotkam się ze zdaniem rozumnem, wykrywającem trafnie i moją myśl i moje intencye, alem się nigdy nie gniewał na nikogo za żadną krytykę, anim się z żadnej nie tłómaczył. Kto produkuje publicznie swój talent, oddaje go na pastwę publiczności. Tytuł na dziele jest to szyld na karczmie. Wolno tam wejść każdemu, chodzić w czapce i świstać.

J. Korzeniowski (w liście do K. Estreichera).

Nekrologia.

Jan Nepomucen Sadowski, ur. 1814 r. w Poznańskiem, zmarł w Krakowie 3 lipca. Z uniwersytetu berlińskiego podążył objąć po ojcu gospodarstwo, ale wkrótce wypadki polityczne zmusiły go do opuszczenia kraju. Przez dłuższy czas przebywał we Francyi. W Krakowie osiadł koło 1870 r. Pierwszą jego pracą literacką było studyum o Słowackim, drukowane w „Przeglądzie Poznańskim". Wstąpiwszy do redakcyi „Czasu" dał się poznać jako zdolny dziennikarz, przez pewien czas też był faktycznie głównym redaktorem tego dziennika. Zajmował się przytem ekonomią i archeologią i ta ostatnia zapisala jego imię w szeregu poważnych badaczy. Dzieło jego: „Drogi handlowe Greków i Rzymian przez porzecza Odry, Wisły, Dniepru i Niemna" (1876), przyniosło mu wysokie uznanie sfer naukowych krajowych i zagranicznych, za nie też Akademia Umiejętności wybrała go członkiem. Jedną z ostatnich jego prac była rozprawa o „Szczerbcu" Bolesławowskim. Sadowski był wogóle człowiekiem wysoce wykształconym, a serdeczny i naturalny w stosunkach, umiarkowany w sądzie o ludziach i sprawach, pozostawił po sobie szczery żal wszystkich, co go znali i przymioty jego ocenić umieli.

Kwerendy.

Otrzymujemy list następujący:

Przystępuję do opracowania monografii Sadyka-Paszy (M. Czajkowskiego), do której materyał oddawna zbieram. Tych, którzy posiadają wiadomości o S. P., skutkiem osobistego zetknięcia się z nim (znajomość, korespondencya, wspomnienia) proszę o łaskawe skomunikowanie się zemną.

Fr. Rawita, Przemyśl, rynek 5.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu M. S. Nie mylisz się Pan — w tym wypadku jesteśmy rzeczywiście „wszystkowiedni“, ale nazwiska autora bajki: „Lisy, kozły, pomnik i niedzwiedzie“ wyjawić nie możemy.

P. El-ka. Pomijanie nie z umysłu. Są takie pisma, które nie raczą zamieniać się z nami. Jest ich niewiele, ale są. Do nich należą: „Prawda“ i „Kuryer Codzienny“, w których Sz. P. utwory swe zamieszczałeś. Nie mamy zaś funduszów na prenumerowanie wszystkich pism polskich. Wkładamy dużo pracy w rubrykę „Bibliografia czasopism“ i chyba nie dla nas ją prowadzimy. Współpracownictwo samych autorów w tej rubryce jest dla nas pożądane. W „Bibliografii“ za lipiec nie pominiemy pańskich wskazówek.

Redaktor główny i odpowiedz.: **Kazimierz Bartoszewicz.**
Wydawca: **Ludwik Glatman.**

W drukarni A. Koziańskiego w Krakowie.